

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

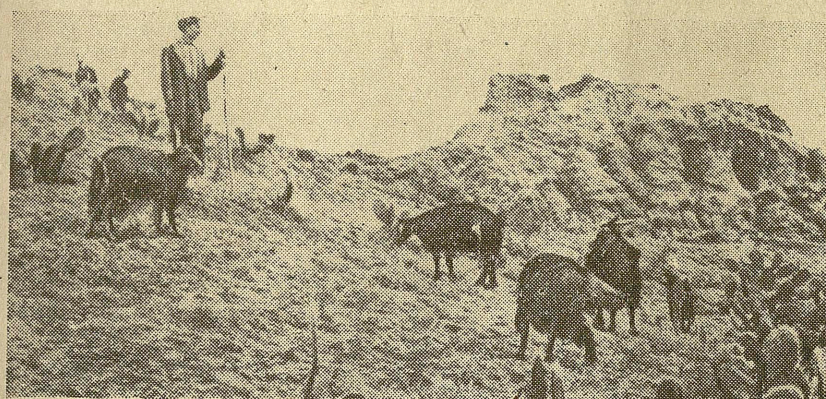
Warszawa, dnia 31 maja 1953 r.

Nr 22 (48)

W NUMERZE

E. SUCHORA, L. FALIŃSKA, E. KANTECKI, J. WENEC, W. AUGUSTYNOWICZ, A. GASKA — o gazetach masowych

Z. SIKORSKA — O prawach walki klasowej W. KOSOBUECKI — O ludzich z bliska
K. KARDYNI — Wiejski Dom Kultury B. LESMAN — Własna świetlica!
H. WORCELL — III etap Konkursu Czytelniczego J. DANECKI — Prasa — organizator kultury
R. PSZCZOLKOWSKI — Kromka chleba L. MAJ — O satyrze i karykaturze
J. BAHR — Największy pisarz Tadżykistanu K. PALYS — „Antek” ostrzega!
L. TARUC — Mój naród będzie wolny G. BIDWELL — Kłopoty USA



WOJCIECH BREOWICZ

W BRAZYLII NAD NUMEREM „WSI”

Z PŁOMIENIEM w żrenicach rozkładam otrzymany przypadkowo numer tygodnika „Wiś” (12-ty z 1953).

Rzadko bywam sam. Tym razem pięćdziesiąt żrenic pochłania spasty jedynę, dawno nie widzianą gazetę z Ludowej Ojczyzny. Wszyscy chcieliby czytać, więc czyta jeden. Pierś nam falują, bluszczu oczy. Gdy „W pieśni nieuczynnej” chłopca, Seweryna Skulskiego, zabrzmiła strofa:

„Nad himalajskie On szczyty
wzrost ludzkości obryzaniem
u wyższywanych i bitych
na wargach Jego jest imię”.

„Zaległa cisza, choć nie był to jeszcze koniec wiersza. Głębokim milczeniem złożyliśmy hołd tej prawdzie. Bo im dalej od „stolicy świata”, tym wcale nie mniej bujne i potężne fale tego hołdu. Jak maszyn w górach andyjskich nie stygnąca lawa rozpalają się serca maluczkich, aby z drugiej strony napędzić przestraszone zgrzytające do ostatniej nitki podpierający walącego się świata. W powozach, czci, jaką budzi imię Stalina, w strajkach, manifestacjach, wzniesionych pięściach i krzyku murów widzą oni swój nadchodzący kres, przed którym żadne atomy i dżumy nie obronią.

U stóp Andów w tutejszych puszcach, szalaszach, ośrodkach przemysłowych i miejskich jest nas wiele milionów, które walczą, aby wybić godzina Jego Imieniem, wpisany na serc naszych sztandarów — bo na półdnie Jego Imienia i Czynu oparli się i trwa cały nasz obecny i nadchodzący Czyn na tej półkuli.

Wyczytaliśmy w korespondencji B. Piątkowskiego, jak to pod Węgrom „ludzie mówią, że Gierłowski, dobry gospodarz, opowiada się za wspólnotą. On nie zaprzecza, lecz jeszcze się waha”.

Wybacze nam, zakopanym w puszczech brazylijskich emigrantom. Ale mi tęskniącym sercem niecierpliwym się na taką wiadomość. Myślę, myśli, aby Waszą twarzą chłopską wolą już zostały zaorane wszystkie zagony i miedze, w jedno wielkie staję.

Dziwny się ob. Gierłowskiemu z gminy Węgrów, że uprządkuje się opowiedział, ale „jeszcze się waha”. Niby przed czym? Przed wspólną budową dobrobytu Polski Ludowej? Dlatego też na zebraniu w naszej dzwigni napędzającej wrogów z zagranicy, którzy się oszczędzają i rozchodzą w kraju kulać, aby ci z kolei podtrzymywali wahania u dobrych rolników Gierłowskich.

O niezwykłej wiadomości... przemknęła w kilku wierszach moja wieś rodzinna Osobnica... jeszcze indywidualna i zaledwie cztery młocarnie.

Wstydę się za ciebie, rodzinna wiosko moja!

Opuszcili twoją nędzę i kocię ongi zagony przed czterdzięcim. Jęczałaś wtedy w beznadziejnej sytuacji gospodarczej, uciskana łapami sanacyjnego komisarza — księdza Gliwy! Ale przecież zostałaś tam wielu postępujących i lewicowych Kośków, Brąglów, Woźniaków, Rolków, Barów, Dybasiów — i innych. Czyżby oni, wyrośli na postępowej myśli dawnej „Ameryki — Echo”, „Polskiej Wolności” itp. „zakazanych”, zapomnieli piękła toczonych wówczas walk z niesprawiedliwością reakcyjną i obstrukcyjnym kłótni? W dowód zaściągłości tych walk siedzieli niektórzy nawet za kratami (Stanisław Kosiek, brat mój, Józef). Jeśli żyją choćby niektórzy z dawnych moich towarzyszy, to Osobnica winna była pierwszą w powiecie jasielskim podnieść sztandar nowych przelotów, aby już dzisiaj stanowić jasny przykład na polu spółdzielczości

produkcyjnej, huczeć zdrowo maszynami i ziarnem, bo kraj potrzebuje obywateli zdrowych i mocnych, wykarmionych dostatkiem chleba — a nie chertaków, zadufanych i śpiących, bezkrytycznie i niemądrze odpychających od siebie dostojny powiew nowych idei i planów rozwojowych, będących chlubą wszystkich wolnych narodów, które twarzą stopą zmiażdżyły zacojanie, nędzę i głupotę.

Wstydę się za Was, dawni moi towarzysze!

Bo ile każdy z Was mógłby sprawić, gdyby działał tak jak Piotr Doniec spod Racławic. Czytaliśmy jego list ze łzami w oczach, my tęskniący do nowego życia Ojczyzny, emigranci.

„Należę w mojej gminie do aktyw — pisze Doniec. — Chętnie w walce o nowe życie oddałbym własne, sterane kiedyś nędzą i latami podeszłymi. Podjąłem już jedno zobowiązanie, takie że w moim środowisku powstały dwie spółdzielnie produkcyjne. Jedna w rodzinnej meji wsi Dostońcu.

Śmierć Stalina to straszny żal i ból. Ale trzeba go przekuć w siłę. Trzeba się jeszcze bardziej usilowo. Po tak bolesnej stracie naszego Ojca i Nauczyciela wydum ze siebie ostatni dech a zorganizuję jeszcze dwie spółdzielnie”.

„Ośrodek Maszynowy w Gibach (w zapadnym kącie Suwalszczyzny) dysponuje 10 siewnikami, 2 kopaczkami, posiada kilka kosiarzy i siewników, oprócz tego dużą ilość sprzętu drobnego: plugi, kultywatory, brony...”

Rozmarzyli się nasi emigranci pod Andami.

— Dużo ładniej, jak chłop z plachą u boku, musi wyglądać siewnik! — powiada starowina Furman, były fomal Potockich z Lubelszczyzny. — Kto to widział „za tamtych czasów”? A siac to musi równiutko, rzadkimi, wszystkie ziarenka uschodzą i krzewią się, powiększając zbiory. To się opłaci!

A jaka to musi oszczędność u robocizny i czasie! Mają też ludziska z czego cieszyć. Chciałbym to jeszcze zobaczyć. Widać, że naród zmądrzał — i już...

— Wrócić by, wrócić!

— Aby tylko zdobyć nieco grosza na drogę... i wzię wyjazdowa...

— Zre tu nas posucha, zdychaczka inwentarza, szarańcza, drożdżyna fabrykatów, podatki — nijak, nijak! — Jeden traktor ciągnie 4 plugi i dwie brony. Wyrażnie o tym pisał Od razu orze i wlecie. O, patrzcie i czytacie tu... jeżeli tak się dzieje w Gibach, w Białostockiem, to i gdzie indziej dzieje się to samo, albo jeszcze lepiej!

— Zazdrość bierze człowieka, czy wstyd, cholera!

— Radzmy, sąsiedzi, radzmy. ON przyjdzie i tutaj... Przyjdzie!

Starowina, Marla Barszczewska, w Strachocinie pod Starogardem wykazuje w 74 roku życia tyle prawdziwej miłości Ojczyzny i tężyzny w pracy na terenie spółdzielni produkcyjnej, tyle zrozumienia doniosłości wspólnych wysiłków, że swoją mądrą postawą i obywatelskim czynem pokazuje wielu męczącym w pełni sił fizycznych — i dlatego właśnie Jej nazwisko spotkało się na naszym zebraniu z nieklamnymi wyrazami podziwu, szacunku i obywatelskiej czci.

Bo nasze zebranie było naradą utrudzoną ludzi pracy, owianych wskazaniem dobrego gospodarza i nauczyciela mas upośledzonych — bez względu na ich kolor, nację i odległość terenową.

Oto produkt wspólnego czytania i wspólnej dyskusji nad jednym numerem „Wiś”, skromnym podarunkiem z Ojczyzny.

Antypody. Kwiecień 1953 r.

STANISŁAW KRAKOWIAK

MOTORY REWOLUCJI KULTURALNEJ W GMINIE ŁAZNÓW

W WIELKIM i twórczym zadaniu wychowawczym naszego narodu Wam, nauczyciele polscy, przypada rola, którą — wierzę gorąco — potraficie wypełnić chlubnie, mobilizując kolektywny wysiłek całej swej organizacji. Tego oczekuje od was naród, tworzący swój nowy byt socjalistyczny, nową kartę swych dzieł. Bądźcie motorem tej wspaniałej i wielkiej rewolucji kulturalnej, która kształtuje dziś życie narodu, pomnażając jej twórcze wyniki...

I LEKROĆ przypominają mi się te słowa Pierwszego Budowniczego Polski Ludowej, Bolesława Bieruty, tyle razy stawiam pytanie: Jak nauczycielstwo gminy Łaznów spełnia tę zaszczytną rolę motoru rewolucji kulturalnej, jakie są wyniki naszej pracy, jakie błędy i dalsze plany?

Niech mówią fakty. Szkoła podstawowa w Łaznówce liczy 140 uczniów i 4 siły nauczycielskie. Poziom i wyniki nauczania stawiają ją w rzędzie dobrych szkół. Na tę sprawę zwraca baczną uwagę kierowniczką, Bronisława Wawszczak. Drobną, niepozorną a ma sławę bohatera pracy. Likwidacja analfabetyzmu w gminie Będ-



ków, to w olbrzymiej mierze jej zasługa.

Pracuje w gm. Łaznów okrągłe dwa lata. Przed nią był chaos, pogiębany niezgodą „domowa” nauczycielstwa i niewłaściwą pracą wychowawczą. Blisko rok kierowniczką Wawszczakowa szukała sposobu powiązania wsi ze szkołą i zlikwidowania miazmatów niechęci do tego wszystkiego, co niesie nauczyciel, książka, szkoła.

Podbiła serca rodziców troską o wyniki nauczania. Dobrze prowadzona świetlica 3 razy w tygodniu po 4 godziny umożliwiła — najtańszym uczniom zrozumienie przerwanej lekcji. Nie dziwnego, że dzieci kończą pełną szkołę prawie w 100 procentach.

Wawszczakowa dopracowała się jednego z bardzo dobrych Komitetów Rodzicielskich. Członkowie Komitetu — Jan Marcinkowski, Sabina Iskierka, Irena Jajmucha, soltys Wawszczakowski Antoni i inni, to prawa ręka nauczycielstwa, to pomost ze szkoły do gromady. Z tego pomostu korzysta nauczycielstwo w ramach prac kulturalno-oświatowych, oddziałujących na świadomość chłopów łaznówskich.

Z Komitetu Rodzicielskiego wziął zaległy zespół aktorski, który wystawił w kwietniu br. sztukę Fredy „Zręczność i przekora”, a obecnie w przygotowaniu jest sztuka „Dziurdziowie” Orzeszkowej.

Członkowie Komitetu Rodzicielskiego, jak Chmielarski, Malinow-

ski, Glonek, Makowski, nauczycielki: Zofia Malinowska, Elżbieta Pieczyńska przez długie wieczory ćwiczą się i szlifują w rolach aktorskich. Na scenie grają jak prawdziwi artyści. Nic dziwnego, że na przedstawienie wali prawie cała wieś, dopinguje aktorów i żąda nowych sztuk i jeszcze lepszej gry.

A zaczęła się ta „teatromania” od wycieczki dzieci szkolnych wraz z rodzicami do teatru łódzkiego na sztukę A. Fredy — „Zemsta” i „Damy i Huzary”.

Wawszczakowa nawiązała kontakt z łódzkim Artosem, który ostatnio wystawiał w Łaznówce przy wielkiej frekwencji (300 osób) sztukę

pt. „Wiosenna loteria”. Aktorzy amatorzy z Łaznów mieli doskonałą okazję podpatrzenia gry prawdziwego teatru i prawdziwych artystów. Po przedstawieniu chłopie obiegli nauczycielstwo, niech robi wszystko, by teatr jak najczęściej przyjeżdżał do Łaznów.

Bronisława Wawszczak w br. wspólnie z nauczycielstwem rozprawiła wśród dzieci i rodziców w gromadzie setki książek na sumę 3.100 zł. Posłała masowo lekturę szkolną, dzieła Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Słowackiego, Życiorys J. Stalina, historia WKP(b), „Matka” Gorkiego i dziesiątki innych.

Sabina Iskierka, członek Komitetu Rodzicielskiego, zakupiła do swojej własnej biblioteki dzieła Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej. Takie biblioteki spotkać można u soltysy Wawszczakowskiej, Marcinkowskiego, Chmielarskiego, Malinowskiego i innych. Książka została przez nauczycielstwo doprowadzona pod strzechy.

Kierowniczką szkoły wraz z młodą personelem: Malinowską, Pieczyńską, Parasem dokładają teraz starań, aby podnieść wyniki nauczania, aby ostatni VII oddział zdobył jak najlepsze stopnie. 60 proc. VII klasy kieruje się w tym roku do dalszych szkół, przeważnie zawodowych i elektrotechnicznych, drzewnych, metalowych, do liceum pedagogicznego i do szkoły rolniczej. 40 procent pozostanie na wsi przy rodzicach.

Łaznów nie jest jeszcze wsią u-

spółdzieloną. Ale praca nauczycieli poprzez dzieci, Komitet Rodzicielski, przez sztukę, przez odczyty i pogadanki z zakresu wiedzy rolniczej zmierza do pogłębienia świadomości wśród chłopów średniaków i już zarysowuje się możliwość zorganizowania w niedalekich miesiącach co najmniej Komitetu Założycielskiego.

—

Szkoła podstawowa w Popielawach skupia ponad 200 dzieci i 4 siły nauczycielskie. Kierownikiem szkoły jest Józef Surosz. W gminie Łaznów mówią o nim, że to straszny weredyk, ostry jak brzytwa. W istocie — prawda, jest on postrachem wszystkich gminnych kacyków, burókratów w GS, bume-lantów, dwulicowych członków organizacji itp. Oczywiście, że i bogaci chłopie — kulacy i podkulaczający się średniacy nie znajdują w nim przyjaciela. Prowadzi w swej gromadzie zaciętą, ostrą walkę klasową, demaskując bez przerwy tych, którzy kręca, aby wykreślić się od regulowania obowiązków wobec państwa. Dwa lata temu, kiedy akcja skupu zboża w Popielawach szła opornie z wawy miejscowych kulaków, Józef Surosz zorganizował do działania działkę szkolną. Trójki harcerskie odwiedzały gospodarzy zalegających z dostawą i przypominały im niemal codziennie, że najwyższy czas wywiązać się z obowiązków obywatelskich. Między innymi dzieci trafiły na zapalczywego bogacza Marczyka, który delegację harcerską chciał krzykiem wypłoszyć z podwórka. Nazwały go wtedy dzieci „wstrętnym kulakiem”. Ta nazwa — mówił Marczyk później przed Radą Narodową — najbardziej mnie boli. Dla-czko szkoła nie wychowuje dzieci w przyjaźni do wszystkich obywateli? Skutek działania dzieci był poważny. Marczyk nie tylko dostarczył zboże, ale i podjął u delegata CUS kontraktację świń. W ubiegłym roku Marczyk był jednym z pierwszych dostawców zboża w gromadzie.

W pracy zarówno w szkole jak i poza szkołą sekundeje Suroszowi jego żona Feliksa. Jest ona II sekretarzem Komitetu Gminnego PZPR i członkiem Komitetu Powiatowego. Szczególną troską otacza harcerstwo i koło gromadzkie ZMP oraz Kolo Gospod. Młodszy personel: Kwapiszówna i Kłuz wozują się w pracy na kierownictwie. Zwalczają dużo pracy w szkole i w samokształceniu wkłada Franciszka Kłuz — niekwalifikowana nauczycielka. W pierwszych dniach po śmierci J. Stalina zgłosiła swój akces do partii.

W bieżącym roku szkolnym klasa VII liczy 26 uczniów. Z tego 40 proc. idzie do szkół zawodowych, a 60 proc. zostaje na wsi. Dlatego też zostają? Nauka? — mówią chłopie — i bez szkoły zawodowej można dostać się do pracy i też tyle zarobić, co po szkole.

Ze starszych absolwentów szkoły wielu młodych ludzi jest oficerami, jak Jędrzejewski, Treła, Pira. Syn Stanisława Matery studiuje w Leningradzie na budowie okrętów, Sęk i Padyk są w liceum rolniczym,



Pakuła w Technikum Budowlanym, Owczarz pracuje jako technik w Starachowicach i dalej kształci się na inżyniera.

Nauczycielstwo z Popielaw w pracy swej wiąże się mocno z aktywnym gromadzkim. Współpracują ze szkołą: Antoni Jędrzejewski, Józef Skrzypczyk, Sęk, Stanisław Matara, Kaczuba i inni. Szkoła jest ośrodkiem oświaty i kultury, kuźnią nowych myśli i sił społecznych w gromadzie.

—

Nauczycielstwo Rokiczin pracuje w szkole podstawowej i w Szkole Zawodowej Drzewnej. Kierownikiem szkoły podstawowej i dyrektorem szkoły zawodowej jest Józef Feja — nieustrudzony organizator oświaty i życia kulturalnego w Rokiczinach i w gminie Łaznów. Przez kilka lat po wywołaniu był przewodniczącym GRN i w tym czasie zorganizował średnią szkołę zawodową, spółdzielczość — handlową w Rokiczinach, przedszkole w Łaznówce i szkołę dla pracujących oraz szkołę rolniczą, która istniała parę lat w Popielawach.

Obecnie prócz obowiązków w szkole bierze czynny udział w gminnej, powiatowej i wojewódzkiej radzie narodowej. Troską jego jest budowa warsztatów, zasadniczej szkoły drzewnej i budowa szkoły podstawowej.

Powstanie średniej szkoły zawodowej w Rokiczinach zdecydowało o tym, że miejscowość ta stała się ośrodkiem życia kulturalnego. W 1948 r. wybudowany został Dom Ludowy, w którym obecnie mieści się i pracuje dobrze świetlica gminna i kino wiejskie. Gminna spółdzielnia musiała na skutek interwencji młodzieży zorganizować i otworzyć sklep z materiałami papierniczo — piśmienniczymi i książkami. Jest on jedynym dobrze pracującym sklepem w powiecie brzezińskim i zaspokaja coraz lepsze potrzeby kulturalne mieszkańców z pobliskich budowli wodociągów i elektryfikacji kolei.

Nauczycielstwo szkoły podstawowej wiążyło się w ślad za swym kierownikiem do pracy zarówno w szkole jak i poza szkołą. Helena Jajmucha bierze co roku wiele godzin w wieczorowej szkole dla pracujących. Marla Krus również do-kształca młodzież pracującą i jest gminną opiekunką sierot. Franciszka Morawcowa poza zajęciami szkolnymi uczy w szkole dla pracujących języka rosyjskiego i prowadzi pracownię biologii i ogródek doświadczalny. Młody nauczyciel, Franciszek Kotusiewicz, ukończył w tym roku zocznice Liceum Pedagogiczne z wynikiem bardzo dobrym i jest w gminie przewodniczącym zarządu gminnego ZMP.

Nauczycielstwo docenia coraz mocniej wydatną pomoc Komitetu Rodzicielskiego. Komitet ten, na którego czele stoi ob. Genowefa Perleczus, rozwijał w szkole zespoły pieśni i tańca, pomaga nauczycielstwu w utrzymaniu świetlicy, w walce o wyniki nauczania itp. Samodzielnie i sprawnie pracujący komitet jest transmisją szkoły na okoliczne wsie.

—

Nauczyciele PZPR-owcy: Wawszczakowa, Suroszowie, Feja są kierownikami politycznymi swych szkół, gromad i gmin. W nich ma oparcie sekretarz komitetu gminnego, prezydium i inne organizacje. Oni są wzorem pracy dla partyjnych i bezpartyjnych.

Za nimi podążają młodzi nauczyciele. Ich praca nie jest jednak współmierna z możliwościami i siłą, jaką reprezentują. Starsi nauczyciele tłumaczą to tym, że młodzi kadry nauczycielskie nie są właści-

(Dokończenie na str. 6)

WOJCIECH BREOWICZ

POWIEDZCIE W KRAJU...

Nie tylko radziecki człowiek,
Nie tylko Demokracje Ludowe —
Caly świat pracy pochylil głowę
Trwając w przysięgi słowie...

Nie tylko Amur i Oka,
Nie tylko Jenisiej się zali —
Wiatr lka na Andów stokach —
Bo umarli Wielki Stalin!

Dziś przyszedł czarny człowiek —
W strajku utracil jedno oko —
A gdy czekałem, co powie,
On w oczy spojrzal mi głęboko

I rzeki:
— Faleceu Jose Stalin...
On nam pod Południa Krzyżem
Serca Ideą rozpalil
I kazal drzeć się wyżej...

I kazal drzeć się mocarnie
Z pęt niewolnictwa — do wladztwa,
Spopielic wiekowe męczarnie,
Skończyc z ustrojem lajdactwa!

— Czemu płaczesz, żołnierzu Vivali? —
Pułkownik pyta wotownika —
— Płaczę, bo umarł Stalin,
A Brazylię pożera Ameryka...)

Nie umarł Wódz-Stalin, nie umarł,
Bo żyje w milionach serc zdrowych,
W oceanie pszenicy szumiącej
W pustyni — po raz pierwszy w dziejach...

W przebudowie charakterów i woli
Obywateli nowego świata,
W promieniach szczęśliwej doli —
Gdzie masz nie wroga, lecz brata!

Wielkiego Stalina słońce
Zwycięży mrok ziemi całej —
O tym nam mówią Andy tu trwające,
O tym nam mówi dżungli szum wspaniały!

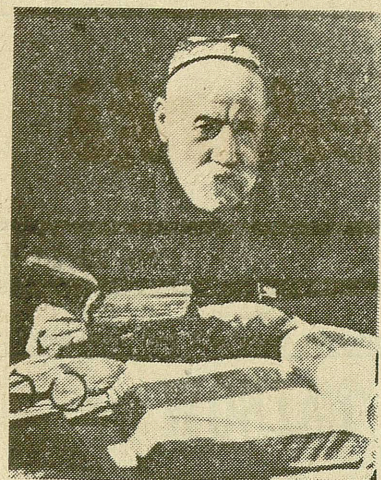
Antypody, marzec 1953

W dniu śmierci Stalina został aresztowany żołnierz Batalionu Straży w Rio de Janeiro, Vivaldo Cabral, urodzony w Areia Branca w Stanle Rio Grande do Norte. Został on „przechwycony” na placu za Stalinem, do czego przyniósł się otwarcie dodając, że dawał go również drugi żal, ponieważ USA okupują Brazylię.

JANINA BAHR

SADRIDDIN AJNI

(W 75 rocznicę urodzin)



Przez ulice słonecznej Samarkandy przechodził czasem smagły, siwobrody, niewysoki mężczyzna z gęstą przyszywaną brodą. Ubrany jest w białą kamizelkę z szerokimi białymi spodniami wpuszczonymi w buty i małą, płaską czapkę zwana tam na Wschodzie tubetką. Często przechodził ów kierując się do chłodnej, sklepionej sali grobowca Mur-Emir-Timur, gdzie odwiecznym zwycięzcom zbierają się szachiści. Przygląda się wraz z innymi grze, słucha opowieści, bierze udział w rozmowach i żartach. Mieszkańcy Samarkandy mówią do niego: „domullo” — nauczycielu, mistrzu.

Jest to Sadriddin Ajni — wybitny tadżycki pisarz radziecki.

Ajni cieszy się ogromną popularnością w Tadżyckiej i Uzbekkiej Republice. I nie w tym dziwnego. Całe życie tego sędziwego pisarza jak najściślej związane jest ze sprawami obu narodów: tadżyckiego i uzbekiego. Tadżykowie łączą bowiem z Uzbekami wspólną nie-dolę pod panowaniem emirów bucharskich. Wiele swych utworów napisał Ajni jednocześnie w dwóch językach: tadżyckim i uzbekim.

W mrocznych czasach feudalnego emiratu bucharskiego Ajni służył narodowi jako poeta, pedagog, działacz oświatowy i społeczny. Dziś bierze czynny udział w socjalistycznym przeobrażeniu swego kraju i całej ojczyzny radzieckiej, jako wybitny powieściopisarz, uczyony i członek Rady Najwyższej ZSRR.

W 1950 roku Spółdzielnia Wydawnicza — oświatowa „Czytelnik” wydała autobiograficzną powieść Ajniego pt. „Buchara”, w r. 1951 w „Kazanie” w wydaniu „Śmierć lichwiarza”, a w 1952 r. ujęliśmy powieść pt. „Niewolnicy”, wydaną przez „Czytelnik”. Bodźcem tworzenia do ich napisania stało się dla pisarza-patrioty wyzwolenie ojczyzny ze społecznego i narodowego ciśnienia, wspaniały rozwój kraju rodzimego i jego nowe, piękne perspektywy zakreślone tak szeroko przez władzę radziecką.

Powieść pt. „Niewolnicy” (napisana w 1934 r.) przedstawia to zagadnienie w najszerszych ramach czasowych, bo od 1825 do 1934 roku. Jest ona próbą spojrzenia na ten okres oczami historyka — marksisty, jest próbą przedstawienia i wytłumaczenia zdarzeń, jakie dzieliły ponurą vegetację niewolnika Rachimada od jasnych i szczęśliwych dni jego wnuka Hassana, przodownika pracy w kolchozie.

Ajni przedstawia tu szczegółowo strukturę aparatu ucisku klasowego, jakim było państwo emira. Ukazuje klasowe oblicze tych warstw społecznych, które były podporą władzy emira: duchowieństwa, kulaków i kupców, demaskuje moralną nicotę urzędników.

Historia cierpienia biedoty tadżyckiej to zarazem dzieje jej walki o wyzwolenie społeczne. Początkowo były to tylko uczelnie niewolników na pustyni, albo pojedyncze głosy protestu. Czasem jednak odruchy rozpacz doprowadzały do masowych buntów przeciw ciemnościom. Koniec tych buntów był zawsze ten sam: śmierć na pustyni, lub śmierć w kaźni emira. Emirat był jeszcze zbyt silny i nie do pokonania dla ludzi wiedzianych jedynie rozpaczą. Dopiero wicher rewolucji zmógł z ziemi bucharskiej emirat i jego sojuszników. Jednak walka o zwycięstwo i całkowite utrwalenie władzy Rad na ziemi bucharskiej była niezwykle ciężka i burzliwa.

Toczyła się od 1917 do 1923 roku. Po zburzeniu feudalizmu zaczęły dobijać się o władzę elementy burżuazyjno — nacjonalistyczne. Ich program, tzw. dżadidizm, w istocie wprowadzał tylko poprawki do feudalizmu. Ajni w swej książce zdecydowanie rozprawia się z tym kierunkiem.

Ostatnia część książki przedstawia okres pokojowego budownictwa pod władzą Rad, zawiera problemy ostrej walki klasowej z kulakami i likwidacji ich jako klasy, sprawę walki o kolchozy, o wychowanie w nich nowego człowieka.

Dzieje powstania Tadżyckiej Republiki Socjalistycznej, dzieje nowego, szczęśliwego rozdziału życia biedniaków Kulmura i Safar-Gulama wiążą się jak najściślej z imieniem Józefa Stalina. Stalin bezpośrednio kierował ustaleniem narodowościowych granic republik Azji środkowej, Stalin nakreślił im

wspaniałą drogę przyszłości w rzuconych przez siebie w 1925 roku wezwaniach do usilnej pracy nad rozwojem przemysłu, rolnictwa i kultury narodowej. Imię Stalina stało się dla ludu tadżyckiego symbolem wielkich zdobyczy, jakie przyniosła im władza radziecka.

To też tadżycki pisarz na ostatnich stronach książki składa hołd wielkiemu nauczycielowi swego narodu.

Wydany w 1951 roku zbiór opowiadań pt. „Śmierć lichwiarza” zawiera utwory z różnych okresów twórczości Ajniego, od 1920 do 1939 roku. Znajdziemy tu pierwszą w literaturze tadżyckiej opowieść o losie biedniaka przed rewolucją październikową „Odina”.

Ważniejsze od „Odiny” opowiadanie pt. „Kaci Buchary” przedstawia stolicę emiratu bucharskiego w 1918 r. kiedy to zagrożony zagładą emir i warstwy rządzące chwytają się najokrutniejszych środków terroru dla odwrócenia nieuchronnej klęski. Z opowiadań katów ukazują się przed naszymi oczami cała zgnilizna warstw rządzących państwa, w którym naczelnik policji jest hersztem złodziei, a emir przywódcą „katów”.

„Kaci Buchary”, „Odina” i „Niewolnicy” posiadają ogromną wagę poznawczą. Ukazują one po raz pierwszy w literaturze tadżyckiej przeszłość narodu z pozycji proletariackich. Są kroniką narodową XIX i początku XX wieku.

W następnych chronologicznie utworach Ajniego: „Szkoła”, „Śmierć lichwiarza”, „Buchara”, która nawiązuje bezpośrednio do wspomnianej młodzieży czytelnik natknął się od razu na zjawiska dotychczas u Ajniego niespotykane: na ogromne bogactwo realiów, na doskonałe studia ludzkie, na nową głębszą ocenę przeszłości narodu.

W „Odinie”, „Katach Buchary” i „Niewolnicach” o miłości pisarza do ludzi świadczyła pasja z jaką śledził Ajni trudne drogi ich życia, gniew z jakim piętnował zbrodnie klas posiadających. Nie potrafił jednak pisarz wyrazić tej miłości w sposób bezpośredni, w rysunku postaci. Ukazując słuszną prawdę ludu do szczęścia i władzy, nie podkreślał Ajni, że źródła tych praw leżą także i w wielkich wartościach moralnych i umysłowych mas ludowych.

Nowe zdobycze artystyczne „Szkoły”, „Śmierci lichwiarza” i „Buchary” są rezultatem ogromnej pracy Ajniego nad swym warsztatem pisarskim, są wyrazem większej dojrzałości ideologicznej, są też w pewnej mierze wynikiem uświadomienia do rzeczywistości, do realistycznych tradycji literackich, zwłaszcza do pisarstwa Maksyma Gorkiego.

„Śmierć lichwiarza” przedstawia Bucharę końca XIX wieku. Z szeregu ubocznych wątków obrazujących chciwość i pychę wyższych warstw Buchary, na czoło wybija się historia świetności i upadku lichwiarza Kori-Iszkamby.

Kori — Iszkamba nie poprzestaje na normalnym dochodzie lichwiarzskim z procentów od pożyczanego kapitału — on po prostu żyje na koszt całego świata. Jada tylko u dłużników, przy których stale niczego sobie nie żałuje. Posługują się tylko pożyczonymi rzeczami. Jedynym motorem jego działania jest nieograniczona chciwość. Kori nie ma domu, rodziny ani przyjaciół. Jedynie stosunki między ludźmi, jakie uznaje, to stosunki łączące wierzyciela z dłużnikiem. W tym lichym i marnym człowieku potrafił pisarz ukazać prawdziwego potworka kapitalistycznego, istotę budzącą w oczach czytelnika największą odrazę i sprzeciw.

Nagrodożona w 1950 r. nagrodą Stalinowską powieść Ajniego pt. „Buchara” przedstawia wieś rodzinną i stolicę emiratu bucharskiego za dni młodzieści pisarza. To co przede wszystkim uderza w tej książce, to wielkie bogactwo typów ludzkich. Na czoło postaci z ludu wybija się piękna sylwetka ojca pisarza.

Postać tę obdarzył Ajni wielkimi zaletami umysłowymi i moralnymi, wyrażając tym całą miłość i wdzięczność dla mądrego przewodnika lat młodzieści. Ojciec Ajniego, mały chłop, a jednocześnie stolarz, człowiek światły i brzydzący się kłamstwem stanowi ogromny wielomówiący kontrast z opisanymi w powieści przedstawicielami klas rządzących.

W rozdziałach poświęconych Bucharze — miastu występuje bogata galeria postaci przewijających się przez ówczesną stolicę: uczniowie medresy, ich nauczyciele, kupcy i chłopcy. Oporządza nas autor po różnych stronach miasta — po medresie, placu targowym, rzeźni, placu pod pałacem emira.

W „Bucharze” tak jak wreszcie w „Szkołach” i „Śmierci lichwiarza” Ajni do minimum zlikwidował komentarz autorski. O tym jak wyglądała ówczesna Buchara mówią tu bezpośrednio obrazy z życia jej mieszkańców.

Na pytanie ucznia, czy jest możliwe, aby astronom Achmad drogą wyliczeń mógł przewidzieć zaćmienie słońca — nauczyciel udzielił odpowiedzi: „Uczniu... są uczniami diabła, a Achmad Głowiasty jest ich powiernikiem, oni wszyscy — są”

(Dokończenie na str. 7)

*) medresa — wyższa szkoła duchowna.

ZOFIA SIKORSKA

O PRAWACH WALKI KLASOWEJ

Opowiadania Bocheńskiego pt. „Zgodnie z prawem” są na rynku wydawniczym pozycją stosunkowo nową, a jednak do redakcji naszej napływają wypożyczenia świadczące, że w praktyce sporej ilości działaczy wiejskich przyzwyczajonych do stałego kontaktu z książką stały się one już pomocnym narzędziem w ich terenowej pracy. Opowiadania te nasuwały naszym aktywistom przede wszystkim możliwość skonfrontowania problemów i trudności własnej praktyki z uogólnionym obrazem życia, jaki na podstawie doświadczeń walki klasowej toczącej się na nowej wsi polskiej stworzył pisarz.

Jednym z typowych przejawów tego rodzaju reakcji na książkę Bocheńskiego jest zamieszczona obok wypowiedź czytelnika, W. Kosobuckiego. Działacz-praktyk ma specjalny stosunek do takiej książki. Szuka w niej wskazówek politycznych, tropi analogie w stosunku do sytuacji własnego terenu, pragnie ją traktować jako użyteczny powszechny podręcznik walki klasowej. Dlatego też wypowiedź dojrzałego politycznego działacza — baczego obserwatora może być czasem niezawodnym kryterium realizmu książki, prawdziwości i typowości jej konkluzji, tkwiącej w niej siły realistycznego uogólnienia, czujności pisarza wobec podstawowych spraw czasu.

Czytelnik — aktywny bojownik naszej walki o socjalizm, który książkę współczesnego pisarza wykorzystuje praktycznie we własnej pracy, może przeczytać niekiedy niedociągnięcia czy nawet błędy przynoszone przez nią obrazu artystycznego, ale jednocześnie wystawia jej najcenniejsze świadectwo: stwierdza, czy zwycięsko zdała ona najsurowszy dla utworu literackiego egzamin — wielki egzamin życia.

„Zgodnie z prawem” stanowi bardzo interesujący argument w żywej dyskusji, jaka wywijała się wokół jednostronnej „śmiałości” wydanego przed dwoma laty tomu opowiadań J. Kuśmierka pt. „Uważaj człowiek”. Książka Kuśmierka, mimo niewątpliwego talentu i dużej wiedzy o rzeczywistości jej twórcy, była uderzającym przykładem skrzywienia perspektywy widzenia pisarza, nieuzasadnionego pesymizmu autora, nieumiejętnego dostrzeżenia, że walka o wydranie biedniaka spod kulackiego jarzma nie toczy się po linii przypadkowych interwencji przypadkowego gościa w terenie, lecz jest celem wielkiej ofensywy

*) Jacek Bocheński, zgodnie z prawem, „Czytelnik”, 1952, s. 232.

WACŁAW KOSOBUCKI

O LUDZIACH Z BLISKA

Opowiadania Bocheńskiego „Zgodnie z prawem” przeczytałem z zapartym tchem. Bardzo podobają mi się realizm w tej książce, np. skup zbrodni w Kozłowie. Ale ponieważ sam brałem udział w skupie na terenie naszej gminy Sokolice w 1950-51 r., kiedy jeszcze byłem sekretarzem gm. ZSCh, więc powiem, że Wojtek niewłaściwie postąpił z Olejniczką. Bo kiedy go poznał, miał pełne prawo cofnąć decyzję i zwolnić Olejniczkę ze skupu. Dlaczego? Dlatego, że miał wtedy również pełne prawo ukarać cwaniaka Wojciechowskiego za oszukiwanie władz, za marnowanie zboża itd., Olejniczak poczułby się naprawdę szczęśliwy, widząc pełną sprawiedliwość i opiekę na partii. Jakże mnie boli grymas żalności na twarzy Olejniczaka po odejściu Wojtka.

Do dzisiaj w tym pozostała cała tragedia Olejniczaka. Bo naprawdę coś go uził, chociaż był u niego Wojtek i Olszanski, tyle tylko, że jak odda to dobrze a jak nie odda, też dobrze (ale o tym wiedzili tylko ci dwaj pełnomocnicy). Podobny przykład mieliśmy wszak i u nas. Jeden oddał 5 ton a za nim inni, naprawdę biedni, mieli brać wzór? Mój sąsiad Bejnarowicz sprzedał 15 kwintali, ale kiedy do niego przyszedł Oktaba, były prez GS, za skupem i powiedział, że „musisz jeszcze z 10 kwintali sprzedać, bo ja sprzedałem 5 ton”, Bejnarowicz chwycił noż i chciał siebie zarznąć, więc ci uciekli jak zmyli. Inna rzecz, że Bejnarowicz, który umiejętnie prowadzi gospodarstwo mógłby więcej mieć zboża, ale wtedy naprawdę nie miał, już na wiosnę owies kupował do siewu i pszenicę jara. Kozuchowski (inny sąsiad) miał o wiele więcej zboża a odstawił tylko 12 q, a więcej, powiedział, nie mam. Ja miałem razem działkę z Kozuchowskim i sprzedałem państwu 18 metrów zboża i 1 metr rzepaku, wdoiw — 1 metr żyta, sekretarzowi — 1 metr, bo swego czasu przy omłotach pożyczali a później oddali mi za to pieniędzy.

Kozuchowski beczelnie powołał się na mnie na zebraniu, że Kozubucki wie jak u niego urodził. Odpowiedziałem, że bardzo dobry! Za to o mało nie poszedłem za kraty, bo nie zapomniał mi tego i czekał okazji, a ta nadeszła wkrótce. Dzieci zapaliły słomę (moja córka 4-letnia i sąsiada chłopak), pożar przerzucił się na stodołę ale w natychmiastowej akcji ratunkowej uderzono stodołę bez strat. Ale ten dzień, kiedy było śledztwo, powiedział, że matka kociół gotowała przy słomie i od tego się zapaliło. Stwierdzono jednak bezpodstawnosć oskarżenia Kozuchowskiego. W końcu wyciągnął rękę i zaczął z innej beczki, ale ja jestem ostrożny, zwłaszcza z takimi jak Kozuchowski, byłym właścicielem 25 ha, które uciął z cudzego pola i cudzych strat.

Wspominam o tym dlatego, że z podziwem oglądam pisarski wysiłek Bocheńskiego aby się wstrzymać w popłatany gąszcz walki klasowej na wsi, gdzie ludzie ścierają się imiennie jako sąsiedzi i znajomi. I dlatego w takich warunkach walka bardzo jest utrudniona i mimo trudnych ciśnień często i długo nieskuteczna.

Olejniczak demaskuje na zebraniu Wojciechowskiego. — „A patrzajcie! Jakże to ty jeden uderzony grabieżnikiem? Ty jesteś dobry kombinator i — można powiedzieć — kulak”.

Na to Wojciechowski od razu wypomina śrut, na którym Olejniczak z bezrolnego dorobił się paru zagonów. Czyli go osłuszył i poniżył. „Któż to krytykuje Wojciechowskiego? Olejniczak? A jakie ma prawo?” O, tak to było. I Bocheński, powiedziałbym, przedstawił się przez to, co opisują korespondenci. U nich sprawa sądowna, ten winien, ten czysty. Ale dopiero pod tym, co na powierzchni w korespondencji, zaczyna się ten gąszcz ludzkich spraw, który daje literaturę i głębszą prawdę o życiu.

Bo jakże łatwo się pomylić w ocenie ludzi. Bocheński na przykład Wojciechowskiego pokazuje, jak ten gra na perłowo rolę wariata i zabiedzonego chłopca. „Jestem trup, skończony trup”. A kręci jak lis, wymyślając prawa aby je obejść, kalkulując interesy, na których skorzystał inni kumotrzy, ale i on zyska, nie tracąc dobrej opinii. Bocheński dotarł wreszcie do tego, czym my żyjemy na codzień, w czym się często topimy i gubimy, bo tu trudne rozeznanie, i wzorów

Partii, jest wynikiem stałego wzrostu świadomości klasowej mas ludowych. Kuśmierk przeczył podstawowe prawo naszego życia, które, człowiekowi zgnębionemu i obezwładnionemu przez ucisk wroga klasowego pozwala odgnać kark i uczyć się walki o swoją przyszłość. Ten problem natomiast w całej rozciągłości podjął Bocheński. Autor nie cofnął się przed żadnym z trudnych problemów współczesnej walki klasowej: odsłonił błędy odpowiedzialnego i niezmienne cennego pracownika partyjnego, zdemaskował w przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej szkodnika, zasłaniającego się ewangelicznym frazesem: ukazał mękę biedniaka, który tłumiony przez kulaka i zaplany w zbrodniczą akcję przeciw spółdzielni produkcyjnej, cierpi i wegetuje w nędzy na marginesie bujnego życia spółdzielczej wsi; wskazał na trudności i konflikty, jakie spotykają w życiu ludzi idących drogą nieugiętej walki i „zgodnie z prawem”. Ale jednocześnie, odsłaniając słabości i błędy, nasycał zarysowany przez siebie artystyczny obraz rzeczywistości optymizmem i wiarą w ostateczne zwycięstwo jedynie słusznej sprawy.

Tytuł „Zgodnie z prawem” mówi nie tylko o zainteresowaniu autora dla nowych norm moralności i sprawiedliwości, ale także o perspektywie naszego życia. Toczy się ono zgodnie z obiektywnymi prawami rozwoju społecznego — poprzez wszelkie trudności i potknięcia, nieustannie naprężone ku pełnemu wyzwoleniu człowieka i wypełnieniu ostatnich przeżytków niewoli z ludzkiej świadomości. Toczy się też zgodnie z mądrym prawem walczącego ludu — prawem słusznym, bo służącym zwycięstwu; sprawiedliwym, bo nie opartym na schematycznych normach abstrakcyjnie rozumianej sprawiedliwości, lecz na konkretnym układzie potrzeb życia i stosunków między ludźmi. Ta nowa idea sprawiedliwości socjalistycznej jest jednym z elementów najbardziej interesujących pisarza. Sprawiedliwość odstał zbroje ponad plan biedniaki Olejniczak gdyż sytuacja wymagała ofiar, a jednocześnie władza ludowa łamie ciężar gniotących go „alimentów”, gdyż, co jeszcze ważniejsze, nie unicestwia siły wroga klasowego. Sprawiedliwa kara śmierci wskutek amnestii nie dosięga złoczyńcy, mordcy, działacza partyjnego — tak chcą konkretnie warunki polityczne. Dzieci pomordowanych, ze śmierci rodziców czerpią nie ślepą chęć zemsty, lecz siłę do walki o zwycięstwo. Takie jest prawo naszego życia, prawo klasowej walki. Wielkim osiągnięciem pisarza jest to, że

je ukazał w splocie trudnych, bolesnych nieraz, bynajmniej nie „klasistrowanych” spraw życia.

Odważył się pisarz biorąc się za bary z trudnościami współczesnej rzeczywistości, jednocześnie nie tracąc z oczu historycznej perspektywy naszej walki, to jedna cecha książki Bocheńskiego rozstrzygająca o jej rzetelnej wartości. Drugą jest bogactwo realistycznego obrazu życia, wielość indywidualnych spraw i pobudek, składających się na typowy i prawidłowy przebieg społecznych konfliktów określonej rzeczywistości historycznej. Bocheński wystrzega się schematycznego, ogólnikowego zarysu sytuacji, jaki panoszy się w ogromnej większości naszych „powieści chłopskich”. Pisarz studiując głęboko właściwości środowiska i okolicy, ukazując swoiste, „terehowe” oblicze ogólnego konfliktu. Trafnie i typowo zarysowana historia szkodnika Karolaka w spółdzielni produkcyjnej została wzbogacona i skomplikowana przez wnikliwy obraz specyficznego charakteru obyczajowego i społecznego okolicy, przez sięgnięcie w przeszłość tej klasowej struktury środowiska formalnego, gdzie „co folwark, to rodzina”. Kontakty Karolaka z rodziną byłych obszarników, z okolicznymi sekcjami stanowiącymi agenturę obcego wywiadu, uzupełniają skomplikowaną, ale niemniej prawdziwą, obraz społecznego układu opisywanego terenu.

Bocheński jest pisarzem posiadającym duże ambicje także i w zakresie psychologicznego portretu człowieka. Jego bohaterowie nie wygłaszają powierzonej im deklaracji, ale istotnie myślą, przeżywają, łamią się wewnętrznie postawieni wobec trudnych problemów życia współczesnego. Sekretarz Wojtek, porucznik Piechana, brygadziści Żuk są bliscy czytelnikowi napięciem przeżyć wewnętrznych, powagą moralnych decyzji. Kulaków Bocheńskiego można odróżnić: rozmiary brucha i zegarek nie są ich jedynymi cechami charakterystycznymi. Autor próbował wreszcie zbudować opowiadanie („Rozbitek”), oparte całkowicie niemal na problemie konfliktów wewnętrznych biedniaka tragicznie rozdartego między własnym klasowym interesem, ciągnącym go do spółdzielni produkcyjnej, a bolesną nienawiścią kulackiego manekina, pchniętego przez reakcję do sabotażu. Nowela Bocheńskiego, mimo trafnie uchwyczonego problemu, zatraciła jednak właściwe proporcje między obiektywnym obrazem rzeczywistości a subiektywnym przeżyciem bohatera. W sumie jest to próba bardzo ambitna, ale nie pozbawiona błędów.

Opowiadania „Zgodnie z prawem” pozwalają wiązać poważne nadzieje z dalszą twórczością prozaiczną Jacka Bocheńskiego.

Zofia Sikorska

Uwagi Czytelnika

Wzmocnić kontrolę i śledzić nią głąb w przeszłość. Za Karolakiem przemawiało to, że uchodził za rzutkiego organizatora, jednego z tych, co to za piecem się nie chowają, ale przeciwnie — pchają się na o czu ludzium. Stał on na czele większej grupy regionalnej z tradycjami formalnymi. On pierwszy wystąpił z hasłem spółdzielni. Ale równocześnie „lokalny” miał związek z byłym obszarnikiem oraz z biskupem Wątorkiem, agentem pod maską wyznawcy biblij.

— A ty, Wojtek, nie spuszczał go z oka — nakazywał kierownik POM. A dlaczego miejscowi na oku mieli bierno? To sprawę nie dość Bocheński rozpracował. Dam dwa przykłady.

Pod koniec 1951 r. jestem u sekretarza KG tow. Kaczyńskiego, patrzę, u niego na stole lista, poznałem po charakterze pisma, że list pochodzi od Karpinińskiego. Dlaczego Karpiniński jako szwagier Kaczyńskiego posługuje się listami, skoro mieszka o kilometr drogi? Kaczyński jakby odgadł moją myśl, powiada przeczący ten list i powiód, czy to prawda. Przeczytałem i odpowiedziałem, że dużo prawdy ale również i nieprawdy. Otóż Karpiniński oskarżał w tym liście sołtysa Szymusia z gromady Łabędzów, że ten nie dał na skup zboża, że podatku nie opłaca, że ludzi odma-wia od płacenia itp. Była to nieprawda. Szymusta dostał w gromadzie Łabędzów dyplom uznania za sprawnie przeprowadzoną kampanię zniwną, omlotową, za skup zboża, i zniwnie w gołowie. Fakt namacalny, jakie ma ambicje chłop takiego pokroju jak Karpiniński.

Kto mógł być tym „okiem” w opowiadaniu Bocheńskiego? Jabłonowski. Ale autor nie w pełni ukazał cechy charakterystyczne takich działaczy jak Jabłonowski. Ten „filozof”, dumający i pragnący prawdziwiej lepszej przyszłości to typ czysty na wsi. Takich w cieniu grzebią Karolakiowie. Wykorzystują ich nieśmiałość i przesadę poczucie odpowiedzialności, dlatego oni sami nie pchają się do organizowania i kierowania ludźmi, raczej osobistym przykładem dają wzór właściwego postępowania.

Wacław Kosobucki

W tym więc opowiadaniu ważnymi wydają mi się dwie sprawy. Kto przed dwoma laty wybierał na przewodniczącego Karolaka, wroga ludu i socjalizmu? Właśnie na obecnym etapie trzeba na to sprawę patrzeć z punktu widzenia walki o władzę w terenie. Trzeba



OTTO WENCEL

Z podróży do ZSR

NASZ RADZIECKI PRZYJACIEL...

JECHALA nas spora grupa nauczycieli, a każdy inaczej wykształcony. Jeden niżej, drugi wyżej, ten kwalifikowany, tamten nie. Niektórzy koledzy skarżyli się, że nie mają warunków na dokształcanie, od lat nie pogłębiają swojej wiedzy, żyją z dawnych kapitałów, brak im znajomości najnowszych osiągnięć w dziedzinie ich specjalności. Jakże te sprawy wyglądają w Związku Radzieckim?

Odpowiedź otrzymaliśmy bardzo szybko, w pierwszej kijowskiej szkole jaką odwiedziliśmy. Urzekły nas „gabinety metodyczne” — forma samokształcenia nauczycielskiego nieznana u nas. Radzieccy koledzy wygłaszają w gabinecie referaty i koreferaty, studiuja wspólnie najnowsze osiągnięcia w swojej dyscyplinie naukowej, przeprowadzają doświadczenia na nowym sprzęcie pomocniczym. Tu także dyskutują nauczyciele swoje osiągnięcia w walce z drugorocznością. Zdumiewająca rzecz! W Związku Radzieckim nie ma już problemu niekwalifikowanego nauczyciela, co więcej — nie ma problemu nauczyciela „spóźniałskiego”. Powiedzmy, że sprawa niewykwalifikowanych sił w naszych szkołach jest przeżytkiem, ale „spóźniałstwo” to wielkie w naszym zawodzie zagadnienie! Sam spotykałem w terenie kolegów, którzy wiedzę o literaturze polskiej zaczęli i skończyli na Chrzanowskim. Młodzi nie wyszli poza liceum skończone dobre kilka lat temu.

Wydało mi się, że nauczyciele radzieccy świetnie rozwiązali problem doskonalenia kadr. Każdy z uczących się, chce czy nie chce, musi co pięć lat ukończyć roczny kurs w Instytucie Doskonalenia Kadr. Co pięć lat pogłębia i odświeża wiadomości. Nie do pomyślenia jest tam wypadek, jaki zdarzył się pewnemu naszemu przyrodnikowi, który nauczał, że człowiek najprawdopodobniej pochodzi od GORYLA. Każda nowa zdobycz naukowa jest radzieckiemu nauczycielowi przekazywana przez Instytut.

A skąd się bierze w budzenie nauczycielskim czas na taki roczny kurs? Ważne to dla nas pytanie. Ano bierze się stąd, że nauczyciele starszych klas mają jeden wolny dzień w tygodniu, młodszych — doświadcza się po południu.

Oglądaliśmy uważnie życie szkoły nr 60 w Kijowie. Uderzyło nas braterskie, pełne życzliwości współżycie grona pedagogicznego. Rzadko kiedy trafia się lekcia bez odwiedzin któregoś ze współkolegów. Wzajemna niestająca wymiana doświadczeń i stałe dyskusowanie jednostki lekcyjnej, podnoszą kwalifikacje nauczyciela.

Pytałem wielu nauczycieli na Ukrainie, czy nie skarżą się na brak czasu, przepracowanie, ów dramatyczny nieraz u nas podział pomiędzy pracą szkolną i społeczną. Odpowiadali mi zawsze z pogodnym uśmiechem, że wszystko jest w porządku. Zastanawiałem się dlaczego tak jest? I zawsze na to wychodziło, że nauczyciel radziecki nie uważa siebie za jedynego społecznika w terenie, jest skromniejszy niż wielu naszych kolegów, którzy sądzą, że bez ich obecności ciele na świat nie przyjdzie, zebranie się nie odbędzie, Gminna Rada się zawali, żyto w polu nie weździe. Nasz radziecki przyjaciel dostrzega przede wszystkim aktywność terenu, umie się na nim oprzeć, a jeżeli z aktywności słabo — to go szkoli. Dlatego nie tylko nie narzeka na przeciążenie pracą, ale osiąga wciąż jeszcze u nas w terenie rzadką równowagę pomiędzy ściśle szkolnymi a społecznymi obowiązkami. Niech mi będzie wolno trochę poartować. U nas często się słyszy wśród kobiet — nie wychodzi za mąż za nauczyciela, bo chłop w domu nie zobaczysz. W Kraju Rad małżeństwa nauczycielskie są w modzie, a koleżanki są bardzo szczęśliwe.

Chciałbym jeszcze na jedno zwrócić uwagę — mianowicie na godność zawodu nauczycielskiego w Związku Radzieckim. To także bardzo u nas ważna sprawa. O popularności nauczyciela świadczą urządzane rokrocznie „Dni Nauczyciela Wiejskie-

go”. Organizują je tzw. Domy Nauczyciela. Radio i prasa zapoznają naród radziecki z pracą szkoły, przedstawiają sylwetki wybitniejszych pracowników szkoły. Z drugiej strony społeczeństwo radzieckie składa nauczycielom w rozmaitej formie, najczęściej jednak na specjalnych zebraniach, wyrazy szacunku i gorącego uznania. W praktyce zapewnia mu odpowiednie warunki mieszkaniowe, dba aby szkole niczego nie brakowało.

W Kraju Rad panuje taki obyczaj: nauczyciel, który nie splamili honoru obywatela radzieckiego, sumiennie wykonywał swój zawód, z reguły otrzymuje po 30 latach pracy Order Lenina, najwyższe odznaczenie radzieckie.

Nie mogliśmy się oprzeć przekonaniu, że u nas praca nauczyciela nie doczekała się jeszcze należytego uznania. Nie chodzi mi o to, że w terenie czasem ta czy inna GRN ani myśli wspomóc kolede, borykającego się z trudnościami. Chodzi mi o sprawę szerszą. Stosunkowo mało się o nas pisze, szerzej o ogół nie widzi dostatecznie naszych wspaniałych nieraz osiągnięć, zwłaszcza na odcinku polittechnicznej nauki. Pisarze nie dali nam jeszcze powieści o nauczycielu wiejskim. Wreszcie my sami mało dajemy znać o sobie. Takie refleksje narzuciły nam się w czasie pobytu w Kraju Rad przez prosty kontrast.

BOLESŁAW LESMAN

Siew w kulturze

LOTEM ptaka rozszala się wiadomość, że pierwszy w Polsce zawodowy teatr wiejski inauguracyjne przedstawienie da 2 maja w Bogumilowicach, pow. Radomsko. Zainteresowanie było niezwykłe.

W świetlicy pomieściła się tylko część chętnych. Reszta stała za otwartymi oknami i drzwiami świetlicy, łowiąc uchem strzępki dialogów i piosenek. Tłum stał cierpliwie do końca przedstawienia, a kiedy ci szczęśliwi wyszli z sali, chwiei wypytywano o szczegóły.

Pierwszy występ objazdowego teatru wiejskiego w Bogumilowicach stał się wydarzeniem dużej miary. Wagę tego wydarzenia podkreślała obecność dwóch wiceministrów: Czesława Domagały i Jana Wilczka, dyrektora Generalnej Dyrekcji Teatrów — Pańskiego, i wielu jeszcze innych, znanych w całym kraju osobistości oraz literatów i dziennikarzy. Lecz nie oni byli tą atrakcją, która przyciągnęła chłopów z wsi odległych o kilka, a nawet kilkanaście kilometrów.

Ze wszystkich wymienionych głównie Domagała, syn Bogumilowicz, był obiektem zainteresowania części chłopów. Przyszli bowiem w tak wielkiej gromadzie głównie dlatego, że pamiętali przedstawienia teatralne w Bogumilowicach jeszcze sprzed wojny.

Już od roku 1935 działała w Bogumilowicach silna komórka KPP. Składała się ona głównie z ludzi młodych. Rozumieli oni, że sanacja, jako jeden ze środków utrzymania władzy, stosuje celowe odgraniczanie ludu od oświaty i kultury. Ciemnotą łatwiej rządzić — ta dewiza dobrze jest znana i stosowana wszędzie tam, gdzie garstka „panów” żyje z ucisku i wyzysku milionów.

Grali więc młodzi kapepowcy sztuki demaskujące wyzysk chłopów przez obzorników. Grali aż polki nie zjechały cztery ciężarówki granatowej policji. Policja aresztowała cały zespół artystyczny, przetrząsnęła i zrewidowała większość chałup we wsi w poszukiwaniu komunistycznej bibuły. Kilkunastu członków zespołu, m. in. Domagałę, wprost z przedstawienia zawieziono do więzienia. Przyszli ministrowie z zespołu w bogumilowickiej świetlicy zawędrowali do Berez Kartuskiej.

Te wydarzenia do dziś żyją w pamięci okolicznych chłopów i temu właśnie należy przypisać niezwykle zainteresowanie teatrem w Bogumilowicach. Ale nie tylko Bogumilowice posiadają specyficzne warunki, ściągające ludzi do teatru. W każdej wsi znajdują się warunki i nagromadzone bodźce. Dlatego objazdowy teatr wiejski wszędzie może liczyć na powodzenie.

Wróćmy jednak do Bogumilowic. Wiele zmieniło się tu od czasów przedwojennych. Odszedł ów młody aktyw kapepowski, który był organizatorem życia politycznego i kulturalnego wsi. Najlepszych powołała Partia. Organizacja partyjna w Bogumilowicach szczyty się tym, że z jej szeregów, oprócz Domagały, wyszedł jeden członek Komitetu Centralnego PZPR, dwóch sekretarzy Komitetów Wojewódzkich, kilkunastu Powiatowych, oraz kilku wysokiej rangi funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

KRYSZYNA KARDYNI

SZUKAJMY NOWYCH DROG

CZY pejzaż, jaki dostrzegamy naszymi oczyma, może mieć polityczną wymowę? Czy można mówić o gromadzie „socjalistycznej z wyglądu”, lub pełnej sprzeczności także z wyglądu? Ośmiadacie sami.

Przed nami skąpany w wiosennym słońcu, ukryty w rozkwitłych sadach Bolimów, gminna wieś łowicka leżąca niedaleko Żyrardowa. Najpierw rzuci się wam w oczy kościół, ciężki i przysadzisty, udający niezręcznie starą romańską gotyką świątynię. A z bliska przeloni go okazała remiza strażacka. O niej zaś zapominamy czytając napis: *kino stałe*. Niedaleko niewielki, lecz estetyczny pomnik z czerwoną gwiazdą na szczycie, do wód wzdziętości dla Armii Radzieckiej. Dalej radiowęzeł, który bije swoim zasięgiem wież kościelną, widoczna przecież z sąsiednich gromad. Wreszcie okazały Dom Kultury w zielonym bukiecie drzew, po drugiej stronie Rawki. Stare i nowe, oto co z miejsca dostrzegają oczy. Jakże jest w rzeczywistości?

*

Gmina — jak nie łowicka. Ziemia nienajlepsza, bo choć trafia się III klasa ziemi, przeważa przecież IV i V. Nie znajdziesz tu słynnego łowickiego buraka, tylko ziemniaki, żyto, owies. Nawet z pszenicą tu nienajlepiej. Mieszkają tu w olbrzymiej większości średniorolni chłopci. A w Bolimowie wieś może biedota niż w innych gromadach. Biedota ta dorabia sobie robotnictwem miotek, rzadziej garnce.

Bolimów tętni życiem. Trafiliam na dobry dzień. Dziś wymiana książek w bibliotece gminnej. Tomów 1400, czytelników stałych 300. Liczba, której nie ma się co wstydić. Dziś również i seans kinowy. Ożywienie kulturalne Bolimowa i najbliższej okolicy pokazuje frekwencja. W remizie raptem 10 ławek dla widzów, a jednak, na przestrzeni dwóch lat pracy kina nie zdarzyło się by wszyscy zdołali się wpełzać do remizy. Jakim cudem mała sala pomieściła 120 osób naraz, kiedy to dawano polski film „Pierwsze dni” (wg. Hamery — Na przykład Plewa) tego do dzisiejszego dnia nie może pojąć energiczny kierownik, Teresa Królik. — Ojciec bił się z synem, syn z matką o bilety, tak się im kino podoba.

Uderzyły mnie i inne wydarzenia świadczące o wartkim życiu społecznym gromady. Na ścianie jednego z domów przy ulicy wodącej w stronę rynku, wisi duża czarna tablica, na której widnieją nazwiska przedowników i bumelantów w

dostawach mleka. Dziś nikomu nie przyjdzie nawet do głowy aby zerzeć którekolwiek z nazwisk. Widziałam także pokątną grupę chłopów zadzierających uważnie głowy w stronę innej tablicy, gdzie barwnie, kolorowymi ołówkami, zaznacza się stan dostaw dla państwa w Bolimowie i innych gromadach współzawodniczących.

Tradycja współzawodnictwa z innymi gromadami ustaliła się w Bolimowie już od przeszło roku. Zeszłoroczne zbiory, tegoroczne siewy wiosenne i sadzenie ziemniaków oto okazje, w których zabłysła gromada jako pierwsza w gminie.

Byłam w na poczęcie. Na 1400 rodzin przychodzi ponad 1000 rozmaitych pism.

*

Józef Wysota, młody agronom i zootechnik z wykształcenia, obecnie kierownik Domu Kultury, pokazuje mi program wieczoru artystycznego, przeznaczony specjalnie dla okolicznych chłopów — przodowni-

Wysota opowiada, jak to wiosną ubiegłego roku usiłował wystawić na scenie świetlicowej „Szkice węglem”, przy pomocy dzieci z bolimowskiej szkoły podstawowej. Nauczyciele popierali Wysotę, ale rodzice przeciwstawili się wystawianiu „bezeceństw”, zabronili dzieciom występów i ostatecznie nie tylko przedstawienie się nie odbyło, ale i Dom Kultury na szereg miesięcy opustoszał. W takiej sytuacji kierownik oparł się głównie na młodzieży uczącej się w Żyrardowie.

Ale Żyrardów, jak to już pisano we „Wsi”, żyje kulturą „importowaną” ze stolicy. Oznacza to, że młodzież przynosi ze sobą do Bolimowa wiele piosenek śpiewanych na stołecznych estradach, wiele wierszy deklamowanych w świetlicach żyrardowskich. Czy to jest źle? To jest bardzo dobrze, lecz ten „ogólnopolski” niejako program nie powinien stanowić całości produkcji



ków pracy. Przeczytajmy dosłownie: 1. Chór — pieśń radziecka „Jarzębina”. 2. Kujawiak — muzyka: akordeon i mandolina. 3. Recytacje — Mały Japończyk Kano, 4. Śpiew solo — „Walczek Warszawski”. 5. Recytacje — „Gołąb pokoju” i tak dalej, w sumie 10 pozycji. Jakaś artosowska składanka, w której tyle z terenowej bolimowskiej problematyki i ilu diabłów na końcu szpilki.

bolimowskiego Domu Kultury, lecz tylko jedną jego część. A część druga?

*

Obyłam rozmowę z kierownikiem radiowęzła, Tomaszewskim. Wcale nieźle osiągnięcia ma „bolimowska radiostacja” obsługująca kilkanaście gromad. Nie każdy radiowęzeł prowadzi stałą kronikę „Nasza gmina w skupie i kontraktacji”. I nie każdy tak jak to się

Wiera świetlica! Własny zespół!



Zanim jednak ostatni z najaktywniejszych opuszcili Bogumilowice, zdążyli zorganizować jedną z pierwszych w kraju spółdzielni produkcyjnych i umocnić miejscową organizację partyjną.

Kiedy w połowie kwietnia spotkałem się z Miłopolskim, jednym ze starszych gwardii kapepowców, który pozostał na miejscu w Bogumilowicach, członkiem zarządu spółdzielni i radnym w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, ten jeszcze był pod głębokim wrażeniem pierwszego Zjazdu Spółdzielczości Produkcyjnej, na którym występował jako delegat. Szeroko opowiadał o swoich wrażeniach.

Serce rosło, kiedy się słyszało jakie piękne osiągnięcia mają już rozmaite spółdzielnie w kraju. Zapisałem się do głosu i szkoda, że do mojej kolejki nie doszło. Mamy się czym pochwalić. Mało kto w Polsce miał takie zbiory jak my. Przeszło 30 kwintali pszenicy z hektara. Tacy Kusiakowie, mąż i żona, za same dniówki dostali gotówki i produktów na przeszło 18 tysięcy złotych, a oprócz tego na swojej działce wyhodowali ponad tysiąc kilogramów żywności i jeszcze ze cztery tysiące litrów mleka oddawali do mleczarni. Nasza spółdzielnia rosła i bogaciła się z roku na rok...

Wygłaszał jakby przemówienie przygotowane na Zjazd, aż trudno było mu przerwać. W końcu jednak doczłamy do zasadniczego, nierozwiązanego problemu Bogumilowic.

Wiesz, liczy ponad sto gospodarstw. Z tych 53 należy do spółdzielni. W ciągu ubiegłych dwóch i pół lat przystąpiło zaledwie 6 nowych członków i dalej ani rusz. W grudniu ubiegłego roku odbyło się zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej, na którym analizowano przyczyny tego stanu i radzono nad znalezieniem wyjścia.

Musieliśmy wtedy samokrytycznie stwierdzić, — opowiadał Miłopolski — że sami nie jesteśmy bez winy. Zajmowaliśmy się wyłącznie gospodarczymi sprawami spółdzielni, robiliśmy wszystko, żeby rosła i umacniała się, a zapomnieliśmy o tym, co zostali nazwani. Oderwali się od reszty wsi. Zapadła uchwała, że trzeba ten sztuczny podział jak najszybciej zlikwidować. Każdy spółdzielca rozmawia ze swoimi sąsiadami, stara się ich namówić do zespołowej gospodarki i w ten sposób wyczerpalimy już chyba wszystkie sposoby agitacji, a ze skóry nie wyskoczymy!

Nastąpiło więc w Bogumilowicach to co można by nazwać „przejęciem ekonomicznym”. Miejscowi działacze w wirze bieżących zadań

gospodarczych zapomnieli o tym, z czego dobrze zdawali sobie sprawę kapepowcy, że w walce o świadomość ludzką kultura jest jedną z najlepszych broni. Nie doceniali jej spółdzielcy z Bogumilowic chociaż mieli w swoim terenie tradycję pracy dowodzącej, jak skutecznie może ona oddziaływać.

W sąsiedniej Suchej Woli, gdzie niedawno powstała spółdzielnia produkcyjna, miałem możliwość rozmawiać z kilkoma starszymi chłopami, czytającymi regularnie po trzy a czasem i pięć książek miesięcznie. Leon Machelski, sporekniwny przez żonę z sekretarzem organizacji partyjnej w Bogumilowicach, Józefem Osińskim, powiedział: „człowiek po każdej książce znowu trochę mądrzejszy”. A widząc, że sporo już zmądrzał, skoro po żniwach zamierza zapisać się do spółdzielni.

Kapitałny wykład o „Placówce” Prusa w kilku zdaniach dał mi Józef Kowalczyk. — Jaki to chłop był wtedy głupi — zwierzał się tonem politowania. — Martwił się, że jak dwór zmarnieje to i on pójdzie na nic. A dziecko, niepój, hulaj sobie tymczasem za chłopską krzywdę.

Gromadzi punkt biblioteczny w Bogumilowicach liczy wszystkich 62 tomy. Połowa z tego to dzieła klasycznych marksizmu-leninizmu — trudna lektura dla ludzi nieprzygotowanych politycznie. Z pozostałej części 20 pozycji stanowią fachowe broszury rolnicze. Z biblioteki szkolnej, posiadającej ok. 500 książek, korzysta tylko młodzież.

Bogumilowice są w całości radiofonizowane. Korzystają z programu radiowęzła w Strzelcach Wielkich, obsługującego kilkanaście okolicznych gromad. Ale jak dotąd nikt w Bogumilowicach nie pomyślał, że program radiowęzła można i należy nasycić lokalnymi sprawami.

*

Kiedy schodziły się tłumy chłopów pod bogumilowicką świetlicę na zapowiadany występ teatru objazdowego, Miłopolski pukał się w czoło.

— Jak zatrzymać przy nas te setki ludzi? Co zrobić, żeby oni tu stale przychodzili?

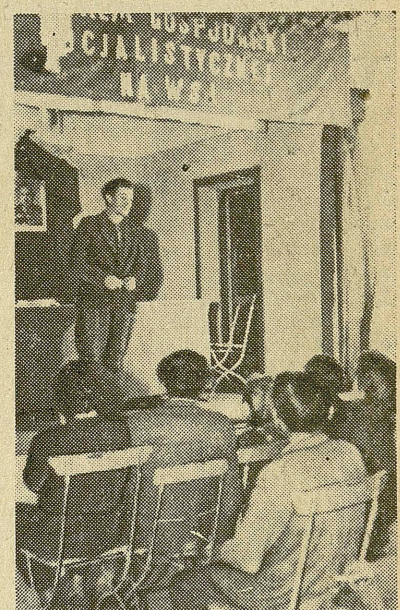
I nagle błysnęła mi myśl.

— Towarzysze! Mamy świetlicę, mamy własny zespół. Trzeba go rozruszać. Trzeba nam tę pracę na serio rozwinąć, a będziemy mieli nową broń.

Towarzysze! Nowa droga przed nami!

Bolesław Lesman

O Węjskim Domu Kultury



dzieje w Bolimowie. Obok zwykłych, ale każdego interesujących informacji o przebiegu współzawodnictwa, pojawiają się krótkie skecze, satyryk ośmieszające opornych, sztydzące z zacofania i zabobonu. Tomaszewski włożył wiele serca w aktualność programu. „Ledwo jakiś soltyś nieprzyzwoicie wierzgnął, a już go Tomaszewski w swoim radu po gminie rozniósł” — takie słyszałam komplementy pod adresem radiowęzła.

Wysota domyślił się zapewne dlaczego wspominam działalność „bolimowskiej radiostacji”. Jasne, podsuwam mu niewykorzystane możliwości, bezcenny a świeży materiał, niewykorzystany na scenie Domu Kultury. Myślę, że zdolniejsi „żyrardowianie”, zwłaszcza zaś humaniści ze starszych klas, mogliby przerabiać wiele materiału z radiowęzła na skecze, krótkie scenki, a nawet wiersze satyryczne. Zdaje się, że dla ambitnej młodzieży była by to wielka okazja pokazania swoich zdolności.

Oglądałam i gazetki ścienne, wydawane przez aktyw i — o ironio — przy walnej pomocy Wysoty. Świetne. Ubawiłam się satyrą na prezesa GS. Poznałam przejawy biurokratyzmu, nadużyć, wypadki nieuczciwości w stałej rubryce „Przez dziurę w płocie”, czytałam o przodujących w gminie chłopach i bumelantach. Przebogaty materiał z gazetki ściennej czeka tylko na szersze wykorzystanie. Z przykrością muszę napisać, że materiał ten wykorzystywała prasa łośńska, ale nie Dom Kultury pracujący na miejscu. Gazetka gminna wisi w świetlicy, nie jest to najlepsze miejsce. A gdyby tak odegrać ją na żywo w Domu Kultury? Mielibyśmy wtedy co miesiąc swoistą *rewię chłopską*, niesłychanie konkretną, obsługującą kilka tysięcy chłopów.

Kierownik Domu Kultury sam zresztą opowiada świetnie historie, których waleńców i wymowy społecznej nie docenia. Uraczył mnie np. taką dykteryjką:

Było to na jednym z zebrzań, gdzie miano przedyskutować statut spółdzielni produkcyjnej. Wstał jeden chłop i powiedział tak: Idę kiedyś drogą koło spółdzielczego pola, widzę — orze chłop we dwa konie. Stanąłem i oczom nie wierzę. Chłop ma wykręcać, wtem jak go konie nie pociągają, jak się nie wywróci — leżał chyba z dziesięć minut i ani zignor. Podchodzę i pytam: — Bez coż to was tak urządziły?

— A bo — odpowiada — myślały sobie, że chce zejść ze spółdzielczego pola, a do orania jeszcze kawał.

Szczerym śmiechem można ukręcić łeb nie jednej plotce. A ileż to takich historyjek krąży po gminie. Niechże młodzież współzawodniczy w zbieraniu tego rodzaju anegdot, niech ze sceny ruca jej w teren.

*

Joanna Krupńska, bibliotekarka, skarżyła się z uśmiechem na Wysotę. Jej odbiera czytelników. Wysota, sam agronom, przyciąga do siebie chłopów, którzy walczą o wyższą wydajność. Dlatego to do niego a nie Krupńskiej przychodzą chłopcy po książki rolnicze. Tymczasem? No cóż, powiem prawdę, tej szansy Wysota nie wykorzystał. Dawno już przy Domu Kultury mogło rwać coś kłopotów, mierzurnowców, czy jakichś inne. Przecież to specjalność kierownika Domu.

*

Wracamy więc do sprawy kadr dotąd nie rozwiązanej. Na dojeżdżającej młodzieży Dom Kultury opierać się wyłącznie nie może. A przecież w Bolimowie nie brak młodzieży, nie brak i starszych chętnych do pracy kulturalnej. Na 50 pracowników GS co najmniej połowa to młodzi ludzie, zwykłe po średniej szkole. Przybyłki, Flutkowski, Odyński stale już uczestniczą w pracach Domu. Z dobrych rolników stary Błaszczak nieustraszenie basuje w chórze i dmie w klarnet. Jest więc na miejscu baza czynnych współpracowników. Tylko więcej wiary w ludzi, naszych ludzi. Przecież nikt nie przypuszczał, aby Sadowska, dawna dworska wyrobnica, matka 6-cioorga dzieci, mimo że chorowita, tyle przeczytała książek i brała udział w każdej imprezie Domu Kultury. Ten kapitał ludzki — współzawodniczących chłopów, setek czytelników książek — trzeba planowo uruchomić.

Krystyna Kardyni

HENRYK WORCELL

Rys. ST. SZMIDT

Dzieje trzeciego etapu Konkursu Czytelniczego

opisane wiernie w gromadzie Zdarzyce Dolne — część druga

W sąsiednich zabudowaniach, rozległych jak folwark, mieszkali trzy rodziny: gospodarz Modera, Maciło i robotnik fabryczny Pankiewicz. Do Maciła — urwicie mi głowę — nie pójde, chociaż bardzo możliwe, że jego bezdzietna żona przystąpiła do konkursu. Zapukałem do mieszkania Modera.



Pankiewicz i Modera wybierają książkę

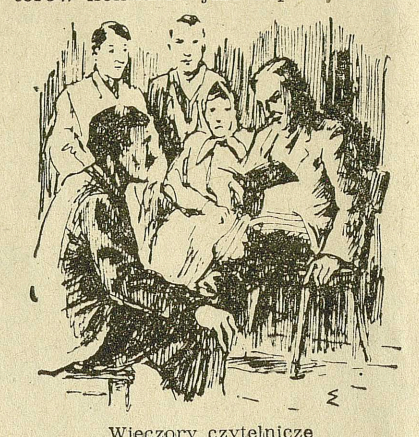
— Dzień dobry! Mam tu dla was coś od św. Mikołaja... Pankiewicz, który był akurat w mieszkaniu Modera, człowiek partyjny, znalazł warunki konkursu, Modera też był

fia były w domu. Matkę znałem tylko z widzenia: twarz okrągła i jasna, włosy bujne, już siwiejące, oczy otwarte, patrzące badawczo i zarazem życzliwie. Wyjaśniłem jej, z czym przyszedłem i prosiłem, by się podjęła prowadzenia II grupy konkursowej.

— Czemużby nie? Ja się tym zajmę. Wciągnę robotników z fabryki. Spojrzałem na tytuł książki leżącej na stole: „Król Chłopów” Kraszewskiego. Skąd? Z biblioteki zakładowej. Owszem, można stamtąd pożyczyć kilka książek konkursowych i zasilili Zdarzyce zespół. W ogóle Puławska wykazała sporo inicjatyw, chciała pracować, sama proponowała organizowanie wieczorów wspólnego czytania.

Tak oto powstał w Zdarzycach Dolnych zespół konkursowy, podzielony na 3 grupy, które zaczęły żyć i rozwijać się każda w sposób odrębny. W ciągu trzech miesięcy zimowych zdołałem urządzić kilkanaście wieczorów w Ruśnickim, u Puławskiej i u siebie w domu. Planowałem zorganizowanie wieczoru na większą skalę w świątyni, ale po namyśle zrezygnowałem. Doświadczając wykazało, że takie wieczory nie udają się w naszej gromadzie, raz dlatego, że ludzie wobec licznego „audytoryum” doznają

progu zaciekawienia, stary Duchński również. Tyle się mówi i pisze o tych spółdzielniach produkcyjnych, takie sprzeczne poglądy ludzie wypowiadają, że Potyrała z pasją chwytła książkę, by zobaczyć co na ten temat mówią takie autorytety jak Lenin i Stalin, a stary Ruśnicki sięga po „Światła z Koord”. Pankiewicz zaś jako partyjny szuka w książce wy tłumaczenia dla takiego zjawiska jakim był Dzierżyński, a jako robotnik fabryczny sięga po „Nr 16 produkcyjny”. Jasne więc, że zadaniem bibliotekarzy i organizatorów konkursu jest doprowadzenie



Wieczory czytelnicze

przeciętniaka do tego progu zaciekawienia problematyką książki. Ogromne i może niedoceniane znaczenie mają tu wieczory głośnego czytania, o czym przekonałem się osobiście, gdy czytałem u Ruśnickich „Wiosnę w Sakenie”. Jeden z konkursistów, 46-letni chłop Pichel, znał już tę książkę, czytał ją u siebie w domu i był rozczarowany, nie nadzwyczajnego w niej nie znalazł. Mówił o tym później na powiatowym zjeździe przodowników czytelnictwa: „Nie wiem co to jest, do licha, ale jakem słuchał czytania, to mi się ta książka sto razy więcej podobała i wszystkim w niej rozumiał. Takie to dziwne rzeczy się dzieją, że potem to już druga książkę „Światła z Koord” czytałem uważnie i już mnie ciekawiła, już wiedziałem o co tam chodzi, bo byłem mądrzejszy”. A oto inny, charakterystyczny wypadek: zetempowicz Krasica przez dwa wieczory słuchał najbardziej przejmujących fragmentów książki Ażajewa „Daleko od Moskwy” opisujących ofiarę i wprost bohaterów pracę robotników przy budowie rurociągu naftowego w okresie groźnej zimy. Podczas dyskusji na temat przeczytanych rozdziałów stary Godzawa odezwał się ze swego kąta: „E, kto to wie, czy tam naprawdę tak było...”. Wtedy wyrwał się Krasica: „Było, ja wiem, że było! Jakby tak nie było, toby Rosja Niemców nie pobiła. Ha! Teraz to ja rozumiem

ten wiersz Majakowskiego „Lewa Marsz” i ten okrzyk: „Komuny nikt nie zwycięży!”

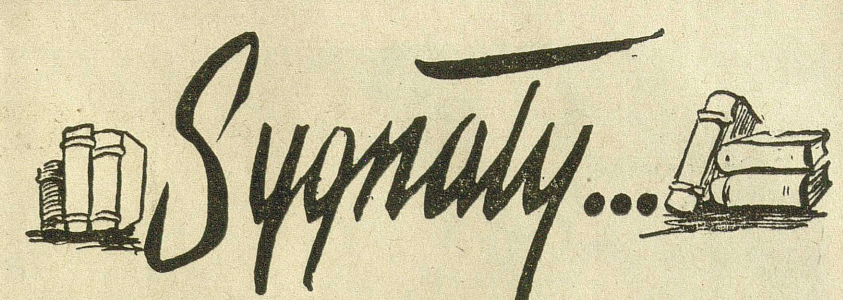
Najwięcej pracy związanej z konkursem przypadło na miesiąc luty. Trzeba było dopilnować, by konkurserzy wymieniali między sobą książki, by zdążyli do 1 marca przeczytać co najmniej po 3-4. I trzeba było przygotowywać czytelników do pisania wypowiedzi. Większość z nich w ogóle nie wiedziała, jak się do tego zabrać, a ci co już zaczęli wypracowywać swe wypowiedzi wyrażali w nich stronę fabularną książki, streszczali jej akcję. Trzeba im było tłumaczyć, że wypowiedź zawierać winna również wnioski ogólne z przeczytanych książek, wnioski natury klasowej, rewolucyjnej, a także artystycznej. Z satysfakcją stwierdzam, że nie musiałem im tych rzeczy kłaść łopatą do głowy ani zaczynać od a, b, c, — ogromna większość konkursistów szybko pojęła o co chodzi i dała wypowiedzi zadowalające, a nie raz zadziwiające trafnością wniosków, np. o hamującym postępie roli kapłanów w „Faraonie”, o upośledzeniu i niedoli kobiety w „Marcie” Orzeszkowej, o przepastnej różnicy idej, w imię których walczyli żołnierze radziecki i żołnierze hitlerowski, o bezsensownej miłości córek i zaślepieniu ojca Goriot, zaślepieniu, które nie mogłoby zaistnieć w ustroju socjalistycznym.

Wzrost uświadamienia społecznego politycznego to pierwsza, nieoceniona korzyść, jaką przyniósł gromadzie konkurs. Druga korzyść, to znaczny wzrost czytelnictwa. Trudno tu ustalić granicę między normalnym rozwojem czytelnictwa a wyraznym sukcesem, jednakże liczby dają do zrozumienia, że sukces jest, bo gdy w grudniu ub. r. mój punkt biblioteczny miał 35 abonentów, to w kwietniu br. miał już 90 nie licząc tych nie zarejestrowanych, którzy korzystają z biblioteki, czytając książki pożyczane przez abonentów zarejestrowanych.

Trzecia korzyść, to fachowe wiadomości rolnicze i hodowlane, które czytelnicy zastosują w swych gospodarstwach.

Korzyść czwarta... Tu już zaczyna się historia, której epilog można przewidzieć i której nazwa: *walka klasowa*. Byłoby to niezgodne z prawdą, gdybym powiedział, że najważniejszą i jedyną rolę w tej sprawie odegrały książki. Na jakiś rezultat oddziaływania książek trzeba by jeszcze długo czekać, gdyby nie moje osobiste wmiśnięcie się w sprawy gromady, a pośrednio i gminy. (Ciąg dalszy w następnym numerze)

Henryk Worcell



WITOLD BILLIP

Powieść o pracy nurków

W dniu 2 października 1948 roku polski statek S/S „Lech” najechnął na minę, jedną z tych, których nie udało się wyłowić po wojnie. Statek zatonał. Wydobycie czyli „podniesienie” wraku nie chciało się podjąć żadne przedsiębiorstwo zagraniczne.

Bo też wydobycie zatopionego statku z głębokości np. 30 m napotyka tak wielkie trudności i niebezpieczeństwa, że wymaga nie tylko wysokiego poziomu technicznego, ale także ogromnej sprawności i ofiarności członków ekipy ratowniczej — przede wszystkim nurków.

Między innymi trudności odważył Polskie Ratownictwo Okrętowe już w r. 1949 „podnosić” „Lecha”. Uratowany statek pływając znowu pod polską banderą. Aby udowodnić wagę tego osiagnięcia, wyznaczono konkurs na wydobycie (1.200.000 zł) wartość statku (około 100 milionów zł).

Polskie Ratownictwo Okrętowe poczuło się może kilkoma takimi osiagnięciami. Osiagnięcia ratownictwa okrętów zależą przede wszystkim od pracy nurków. Praca to trudna, niebezpieczna i nie dla każdego dostępna. Wymaga żelaznego zdrowia, sprawności fizycznej i waleczności, a także niezłomności. Może własnie dlatego personel polskich ekip ratowniczych powiększył się po wojnie o wielu młodych zełmowców, których pociągałamianie przeszłości i niebezpieczeństwa, których urzekała niezłomność, romantyka tej pracy i którzy wraz ze starszymi, doświadczonymi nurkami w podmorskich głębokościach chcą przyczynić się do pominięcia pogię ludowej ojczyzny.

Wojnę, mówiący o niebezpieczeństwach i trudnościach tej pracy:

„Wszach kłudo boleśnie, choć zaraz dostrzelił je do zmienionego cisnienia. Potem ostrożnie raz po raz zaczął kopnąć, czując nadmiar powietrza przez zawór wlotowy i wołno pogrążyć się coraz bardziej, aż stanął na dnie pośrodku całego stada ryb, które zaczęły go okrążać przemykając tuż przed jego twarzą lub zatrzymując się na wprost szyby, jakby trochę zdziwione, lecz bynajmniej nie spłoszone tym niezwykłym widokiem.

Odgarzał je ręką, co wywołało wśród nich nagłą panikę. Bolały go wszystkie zębra, w głowie mu szumiało, był na pół ogłuszony.

— Odpoczął chwilę i rozzerzał się dokoła. Za nim w brunatnym mroku majaczyła ogromna czarna masa wraku, zapadłego głęboko w grunt. Podszedł ku niej powoli, jakby niebezpieczny, i zaczął podchodzić. Zamknął na chwilę oba zawory i nacisnąwszy broda kontakt sygnałowy telefon powiedział:

— Jestem na dnie. Podciągajcie mnie w górę do wysokości podkładu „Adriest”.

Jahus spytał go, jak się czuje.

— Już dobrze — odrzekł swoim spokojnym opanowanym głosem. — Chcę wrócić na wrak.

Nurkowi Michałowi Orbachowi zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. Uratował się tylko dzięki przytomności umysłu. I oto zaledwie niebezpieczeństwo minęło. Orbach spokojnie, jakby nie było zaszło, wraca do przetrwania pracy.

Fragment, który przeczytaliśmy, pochodzi z nowej książki Janusza Mioduskiego „Wrak”, wydanej ostatnio przez Państwowe Wydawnictwo „Iskry”.

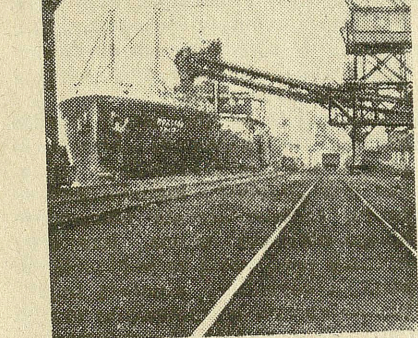
Każdy, kogo interesuje praca nurków,

dla kogo przytoczony fragment stanowił zapowiedź wielu godzin spędzonych nad pasjonującą lekturą, powinien przeczytać tę książkę.

„Wraki” mają swoje zalety i wady, które omówimy jeszcze w szczegółowej recenzji. Na razie stwierdzimy: największą zaletą książki jest to, że wiesz się z niej można dowiedzieć o trudnej i pięknej pracy ekip ratowniczych okrętowego. Autor oparł się na sumiennej wiedzy o opisywanym przedmiocie, wiesz nie tylko książkowo. Opuszczał się sam na dno, zapoznał się bezpośrednio z warunkami podwodnej pracy.

Czy wiecie, jakim zdziwieniem podlega nurek rozkładając się przez szybę szklaną skafandra na 40-metrowej głęb. W jaki sposób można posługiwać się w wodzie publicznym wodotrośnikiem lub motem pneumatycznym, jak zbudowane są pontony do „podnoszenia” wraków i jak się je umocowuje do zatopionego statku? Na te wszystkie pytania — nie wnikliwych — znajdzieszcie odpowiedzi w książce Meissnera.

Dobrze, powie ktoś. Ale to nie jest powieść, tylko podręcznik. Otóż nie podob-



ne! Przeczytajcie „Wraki”, a przekonacie się, że nie ma tam ani jednego nudzącego, przeładowanego opisu technicznym fragmentu. Przeciwnie. Akcja rozwija się żywo, opowiadanie jest tak barwne i przykuwające uwagę, że nie chętnie nie odkładaloby się powieści przed jej skończeniem. Pomyślcie tylko. Nurek, Antoni Barnat, w dniach ucieczki hitlerowców z Gdyni sam jeden zatapia wielki statek „Adriest”. (Orie zgnioty). Po wojnie Antoni schodził na zło drogi: szaber, spekulacja, waleciarstwo. Zostaje aresztowany. I oto po wyjściu z więzienia Barnat odnajduje drogę do Polski Ludowej, do swych dawnych towarzyszy walki, pracuje właśnie przy wydobyciu M/S „Adriest”. Nie było jakich czynów w tej pracy dokonak: uratował w czasie burzy przed całkowitą zniszczeniem za wcześnie wymuszony wrak dwóch nurków, który zawiązało ocalenie życia. Ale dość tych streszczeń — nie można w nich oddać tego wszystkiego, co we „Wrakach” tak pasjonuje. „Wraki” trzeba samemu przeczytać.

ANTONI JURSKI

Legenda amerykańska

Prezydent Eisenhower wydaje z budżetu państwa ogromne sumy na szkolenie każdego narodu świata, nie wyłączając własnego. Nie, nie, nie, to jest wrodzona złośliwość. Jest to skutek wszechwładzy wielkich monopol, skutek wynaturzenia ich gospodarki, chylące się coraz wyraźniej — mimo pozorów świętości i pociągów ku załamaniu i nieuchronnej zagładzie.

Alie mechanizm tego wszystkiego nie jest wcale prosty. Akty wrogosci okrywa płaszcz „pomocy”, na której zarabia wpływową garść pośredników. A propaganda Stanów Zjednoczonych nie ustaje w wysiłkach malowania portretu znanego „władzka Sama”, który zapewnił dostatk i szczęśliwość własnym obywatelom, a teraz pragnie rozszerzyć te dary na resztę kuli ziemskiej.

Pomocą w tej robotce jest kilka legend z dawna się datujących. A do najbardziej upartych należy opowieść o gościnnych brzegach wielkiej demokracji, gdzie każdy oddycha pełną pierśią w atmosferze wolności i równości; a także baszta tęczowa o amerykańskiej pomocy — szczerzej i bardziej szczerze — której wspomnienie i u nas pokutuje w postaci skwerków Hoovera, pomników i placów Wilsona, czy tablic pamiątkowych. Tak więc dwaj najbardziej zakochani przedstawiciele imperium USA dawnego pokolenia występują w roli dobroczyńców ludzkości, a kraj, gdzie rasizm wszechstronny i wielopiętrowy jest zasadą rządzenia, uchodzi w oczach wielu za raj obywatelskich swobód dla tych, co się tam dostaną.

Dlaczego na tych właśnie dwóch skrzydłach szybuje propaganda szepciana i mówiona? Jedna sprawa dotyczy przeszłości, dość odległej, do której, jak sądzi wielu, nie warto już wracać. A rasizm amerykański na odległość tysięcy mil oceanu zatracza swój kształt istotny, wyższy gospodarczego i swe oblicze klasowe. Jakże często stosunek nasz do Murzynów ma postać współczucia dla ludzi prawdziwie krzywdzonych, ale też niemiłej prawdziwie „lunnych”.

„Coś w tym jest” — nieraz słyszymy z ust ludzi. A owo „coś” w ich pojęciu to kolor skóry odmienny, nie zaś miliardy dolarów płynące z wysiłku wszystkich grup ludności, które można uderzyć młotem dyskryminacji rasowej: Murzynów i Chinczyków, Włochów i Polaków — słowem co najmniej połowę mieszkańców USA.

Mamy teraz dno książek. Spójrzmy na wystawy zobaczymy, do czego ma doprowadzić przeciętny czytelnik. Oto dwie pierwsze z brzegu broszury. Przekład. Tłumaczyć należy rzeczy celne, naprawdę wartościowe. Nie ilość drukowanych słów, lecz jakość i plastyka argumentów potrzebne są dla rozwiania fałszywych, a mocno zakorzenionych legend. I z miejsca doznajemy rozczarowania.

Książka Kunin”) omawia interwen-

jednak, kto nie zrazł się taką przeszkodą, nie pożałuje trudu: zwiędzi prawdziwą kopalinę wiadomości z zainstalowanymi dotychczas hulała fałszywa propaganda. Już choćby dlatego warto zasygnalizować książkę.

Inne wady ma druga broszura: 0 położeniu Murzynów mamy w języku polskim całą biblioteczke. Nie, nie, nie, tutaj o dzieła takie jak świetna praca Haywooda, zbyt fachowa na szeroko rozpowszechnianą lekturę. Mamy na myśli produkcję popularną. I znów po-



wiarza się stare grzechy. Autorka książki o „Czarnej Ameryce” nie wychodzi poza opisy niedoli Murzynów, jak gdyby ich los był odmienny od losu pozostałych obywateli. Stanów i tworzył smutną, egzotyczną wyprawę na błękitnym morzu powszechnej szczęśliwości. Pomijamy już szereg błędów historycznych i faktowych. Najważniejsze jest to, że nie widzimy kształtu rasizmu USA, nie widzimy, że jest wielopiętrowym filarem ustroju, że jest podcięcie zwalobly cały gmach. Rasizm jest koniecznym składnikiem imperium USA i dążeń do panowania nad światem. Duleć nie różni się od Hitlera. Ten międzynarodowy charakter zagadnienia należy jednak ukazać. Inaczej nie zrozumimy charakteru poczynań amerykańskich w Azji i Afryce i różne „Głosy” nadal sniedzawać będą plewy za szlachetne złamno.

Sto lat temu Harriet Beecher Stowe spisywała dzieło czarnego Wujka Toma odwołując się do himnów amerykańskich: „Pana Tadeusza”. Książka wstrząsnęła światem i Ameryką. Ale nie z powodu filantropijnych akcentów. Jej siła leżała w tonach rewolucyjnych, jakie towarzyszyły ukazowaniu gniewnych władz ustroju. O tym należy pamiętać.

Antoni Jurski

*) A. J. Kunin. „Kieska amerykańskich planów zdobycia panowania nad światem w latach 1917-1920”. „Książka i Wiedza”, 1952, str. 260, cen. 21 5.40.
**) G. S. Wojtowiczowa, „Czarna Ameryka”. „Książka i Wiedza”, 1952, str. 160, cena 21 5.

JAN KOPROWSKI

MATCE ORKANA

Jalowa ziemia na Podhalu:
owies na stokach i jalowce.
Zrudziła trawę słońce pali
i chude wyskubane owce.
Poeta o tej ziemi pisał,
że żal i płacz ją wykołysał.

A w sercu moim lichej płach ten
od dawna miłość wielką budzi.
Stąd, otulona w szarą płachtę,
szła matka z synem między ludzi.
Drżały nad nimi wiechy sosen
jakby i one były bosc.

W Porębie Wielkiej, Limanowej
uboga wiosna, zła jesień
troski matczyne w dni surowe
toczyły się jak deszcze nad ziemią.
Lecz nie odbierze nic na świecie
hartu i męstwa tej kobiecie.

Odprowadzała syna co dzień
drogą skalistą do Szczurzyca.
...Ręce urobie, nogi uchodzę,
bruzdy porażą moje lica,
a jemu udostępnię światło...
Skąd w tobie tyle siły, matko?

Matko poety, posłaś z synem
gościćem polnym do Krakowa.
I bilo serce twe matczyne,
gdy na uniwersytet syn wstępował.
Wracałaś do domu, była północ,
księżyc kołysał się jak czółno.

Kto pojmie, matko, twoje troski,
drogę do życia i do świata?
Krzywdą i ciężar tamtej Polski
serce po wielu ranią latach.
Znajdziemy w wierszach nieucieszeni
tę „ziemię leż i wiecznych cieni.”

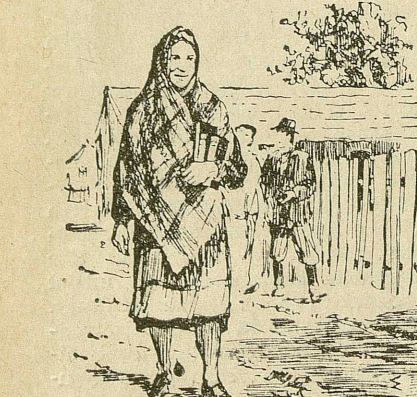
Mnie słać ciebie, twego syna
i życie wasze w moją skute.
Miłości czas nie zapomina
wysoką biorąc po was nutę.
SYNOWIE WASI I WNUCZĘTA
PORWALI ŁAŃCUCH, KTÓRY PETAŁ.



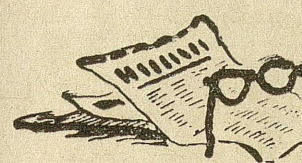
Rafurka Cislakowa i Maślakowa

Maślakowa i była przewodniczącą Koła Gospodyń Cislakowa, wesoło, z humorem wysuwając kandydaturę Maciła. Kumotry krzyczą: zgoda! zgoda! — a Maciło przyjmuje funkcję, wdychając i robiąc minę jak gdyby chciał powiedzieć: „Trudno, trzeba pracować społecznie dla dobra kochanej ojczyzny”. I oto jeden z najzagorzalszych reakcjonistów zostaje przewodniczącym koła TPP-R, kawał się udaje, ale Maślakowa i Cislakowa nie mogą słumieć swej wesołości, wybuchają śmiechem.

W małych grupach, nie mających charakteru zebrań oficjalnych, nawiązanie dyskusji przychodziło łatwiej. Nie sposób w tym miejscu przytoczyć wszystkich ciekawych wypowiedzi, z konieczności muszę się ograniczyć do wyciągania wniosków. Ogólnie utrzymuje się szlachetny pogląd, że przeciętny czytelnik wiejski, ścieśniony, rolnik z wykształceniem od 4 do 7 klas szkoły podstawowej, niechętnie czyta książki o tematyce wiejskiej. Jak dziecko, które woli cyrk z jego cudaczynymi kłownami i linoścokami niżeli widowisko teatralne, tak on częściej czyta powieści o krajach egzotycznych, o wojnie, o awanturniczych przygodach niżeli „Pawie piona” Kruczkowskiego czy „Ojczyznę” Wasilewskiej. Tematyka wiejska zaczyna być interesująca dla czytelnika bardziej wyrobionego, u miedzącego wyłowić z książki jej problematykę społeczną, czy psychologiczną, także dla miejskiego inteligenta, któremu wieś pachnie egzotyką i dla tych, którzy oderwali się od wsi, od roli, a teraz tęsknią za nią, wczytując się w reymontowskie opisy przyrody. Ale i ów przeciętniak czteroklasowy z biegiem czasu chętnie weźmie do ręki książkę Kruczkowskiego czy Jarochowskiej. Stanie się to z chwilą, gdy wskutek czytania i gimnastyki umysłowej spostrzeże, że problematyka zawarta w książce jest jego własną problematyką. Artystyczne walory książki, opisy przyrody, styl autora — te rzeczy są mu jeszcze obojętne, ale problematykę chwytą. Młody Potyrała doszedł już do tego



Puławska dużo udzielała się społecznie



Korespondenci chłopski o pismach masowych

JAN DANECKI

Prasa — organizator kultury

NIEDAWNO temu, kiedy na jednej z narad wywiązała się żywa dyskusja nad przyczynami słabego stosunkowo rozwoju czytelnictwa fachowej literatury rolniczej — wtedy m. in. padło takie oto wytłumaczenie:

— Przyczyna?... Prasa. Chłopek czerpie wiedzę fachową z gazet — po co mu zatem książka rolnicza? Masz babo placek!

Widać źle z nami, proszę szanownego doradcy, źle z naszą rewolucją kulturalną. Bo albo przyjdzie nam zrezygnować z masowego upowszechniania literatury rolniczej, albo... zabrać się do zmniejszenia nakładów masowych pism wiejskich. I zmniejszać je tak długo, dopóki chłop, przyśnięty biedą, nie chwyci się „z braku laku” za książkę rolniczą.

Nonsens? Oczywiście. Bo sprawa jest poważna.

Takwi ona, tak mi się zdaje, w niezrozumieniu funkcji prasy nowego typu, w fałszywym ujęciu roli masowej gazety chłopskiej jako podstawowego (szustniel), ale wciąż jeszcze w pełni wystarczającego (niesłusznie!) dla mas chłopskich źródła oświaty i wiedzy — jak owe dawne gazetki ludowe, na których najłatwiej, najbardziej wyrobieni zdobywali całe swe wykształcenie fachowe i polityczne.

O takiej to właśnie tradycyjnej gazecie myślał stary Kościelski ze Świątyni, który niedawno jeszcze pisał do „Gromady”, że „na wsi tylko gazeta to cały świat, nauka i rozveselenie”.

Wypływa zatem to stanowisko właśnie z niedocenienia roli masowej prasy w dziele rewolucji kulturalnej na wsi. Wszak to dzięki gazecie na wsi straszyli i użynionej jej oddziaływaniu glebie umysłów chłopskich wyrastają nowe, nieznane przedtem zdolności i potrzeby kulturalne. To ona wyłania szeroki aktyw czytelników — działaczy i terenowych współpracowników, dla których niezbędne się staje sięganie po bardziej wyspecjalizowaną broń kulturalną — prasę periodyczną i książkę.

...rozwoj kulturalny klasy robotniczej i mas pracujących chłopstwa — nie tylko w sensie rozwoju elementarnej oświaty, aczkolwiek elementarna oświata stanowi podstawę wszelkiej kultury — ale przede wszystkim w sensie NABYCIA NAWYKÓW I UMIEJĘTNOŚCI WNIKANIA W SPRAWY RZĄDZENIA KRAJEM — stanowi podstawową dźwignię usprawnienia aparatu państwowego i wszelkiego innego aparatu. Na tym polega sens i znaczenie leninowskiego hasła rewolucji” (Stalin).

Jest dużo głębszej racji w zamieszczonych obok słowach korespondentki, że właśnie gazeta pierwsza przyucza chłopca do krytyki, do aktywnego stosunku względem otaczającej go rzeczywistości społecznej... że krytykować trzeba — o ile się ma na względzie interes ogólnonarodowy, a to właśnie znaczy wnikać w sprawy rządzenia gromadą, gminą, powiatem, krajem.

Po wtóre — przenosząc na wieś wytworne Partii i Rządu, ucząc prawidłowego politycznego myślenia gazeta w spontaniczny nurt krytyki wprowadza kryteria państwowości socjalistycznej. Gazeta wreszcie, często sama załatwiająca interwencje swych czytelników, upewnia chłopów o celowości tego ich rzadzenia. Oto jest pierwsza elementarna zaprawa obrzychnych mas chłopstwa do owej trudnej sztuki „wnikania w sprawy rządzenia krajem”.

A trzeba wiedzieć, że ta ożywcza fala oddolnej inicjatywy chłopskiej, powołana do ruchu przez dźwignię wydawnictwa, co dzień, co godzinę wyłania wciąż nowe talenty organizatorskie, że na tej fali wyrasta i hartuje się niezliczona kadra przywódców opinii chłopskiej — terenowych korespondentów. O nich to mówił Stalin, że „w masie swojej wrażliwości, płoną iskrą prawdy” — ludzie ci „pragną demaskować, pragną za wszelką cenę naprawić nasze niedociągnięcia... nie boją się kuli”.

Korespondenci ci — stając się w terenie zorganizowanym ramieniem prasy — uczą się kierować inicjatywę chłopską w nurt budownictwa socjalistycznego, uczą się za pomocą gazetek gromadzkich zwracać skargi chłopskie do Warszawy, do województwa, aby na miejscu własnymi siłami rozwiązywać miejscowe problemy, — uczą się być działaczami na miarę zwiększającego się zaufania, jakim obdarza ich okoliczne chłopstwo.

W ogniu tej walki szybko odbywa się rozwój korespondenta jako społecznego działacza — nie jest wyjątkiem piszący obok Edward Suchora, który w ciągu kilku lat współpracy z „Chłopską Droga” wyrósł z prostego chłopaka wiejskiego na sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej, potem — prze-

wodniczącą GRN, sekretarza Komitetu Gminnego, aby wreszcie przejść do odpowiedzialnej pracy w Komitecie Powiatowym Partii.

W tym trudnym wzroście korespondent odczuwa pomoc i opiekę swojej gazety. Ona udziela mu wskazówek listownie i w osobistych kontaktach, przesyła materiały szkoleniowe i potrzebniejsze książki — w pełni doceniając fakt, że im więcej rośnie korespondent, im bardziej odpowiedzialne jego zadania w terenie — tym ostrzejszych, bogatszych, precyzyjniejszych potrzebuje kulturalnych narzędzi działania.

Tak więc korespondent, choć nierozróżnialnie związany z gazetą, sięga rzeczy wyraża ponad poziom jej przeciętnego odbiorcy. Jego rosnących potrzeb kulturalnych nie może już zaspokoić samo tylko „macierzyste” pismo masowe. Znam korespondentów, którzy obok „swojej” gazety, której na ogół zawsze pozostają wierni — prenumerują szereg pism fachowych i politycznych; sporządził systematycznie czyta „Nowe Drogi”, niejednemu sięga bezpośrednio do klasyków marksizmu, prawie każdy gromadzi w domu połączoną biblioteczkę, zapoczątkowaną przez książki, przysłane przez redakcję w nagrodę za korespondencję. Zawsze zaś niemal wszyscy (mowa o prawdziwych korespondentach, a nie tylko pozornych) — dopracowują się wyższego poziomu kulturalnego, podciągają się, stawiają sobie jako honorowe zadanie wychowanie nowych korespondentów, wchodzą w skład miejscowego aktywnego kulturalnego, ciągną do swego poziomu gromadę.

W ten sposób masowa gazeta chłopska tworząc zorganizowaną sieć terenowych współpracowników wypełnia zarazem funkcję organizatora kultury; jej upowszechnianie i uściszczenie w tym najgłębszym, aktywnym, leninowskim sensie.

Jeżeli zatrzymamy się nawet nad najbardziej „elementarnymi” wiejskim pismem masowym — „Gromadą-Rolnikiem Polskim” — zobaczymy, jakie to pismo — napomykając (a nie wyczerpując!) o tysiącach zagadnień, znajduje odzewy, jeśli nie w milionach, to w dziesiątkach tysięcy czytelników.

— Osobnej strony na poradnictwo weterynaryjne, bo lekarzy weterynaryjnych jest bardzo mało, a zwierzęta zapadają stale na różne choroby — szeroki porad fachowy o pszczałnictwie i hodowli owiec, bo teraz na dużą skalę hodowlę owiec się stosuje, a ludzi fachowych do hodowli mało;

— „poradnika o budowie dektora radiowego i jego części składowych, gdyż pragniemy własnym rękom zbudować tak cenny dla nas aparat”;

— „zamieszczania w każdym numerze inscenizacji, recytacji, piosenek, wierszy na użytek świetlic gromadzkich”;

— „więcej wiadomości o sławnych ludziach, książkach, filmach, dodatków książkowych z ilustracjami i na dobrym papierze”;

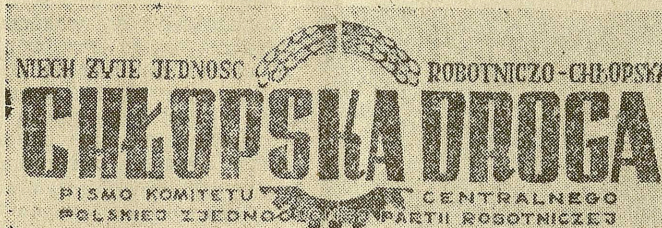
— „wydawania słownika języków obcych, bo teraz dużo czytamy książek i zdarzają się często obce wyrazy”;

— „specjalnego dodatku geograficznego, z tym, aby na pierwszej stronie umieścić mapę danego kraju, następną stronę przeznaczyć na opis geograficzny a pozostałe 2 strony na różne zdjęcia opisywanego kraju, jak góry, miasta, zabytki, fauna i flora”.

Czy gazeta masowa może spełnić te wszystkie życzenia? Nie może, chociażby nawet objęła nie 16 stron — jak tego domagają się czytelnicy — ale 30 stron w każdym numerze. Prasa periodyczna: polityczna, rolnicza, techniczna, literacka, popularna — naukowa, broszura specjalizacyjna i książka — one dopiero mogą w pełni rozwiązać problem — a gazeta spełnia tu funkcję przygotowania i zainteresowania swego czytelnika.

Czego zatem świadectwem są listy czytelników „Gromady”? Mówią one, że pismo masowe przestało już dawno być „całym światem, nauką i rozveseleniem”, jedyną, a z konieczności wąską „encyklopedią” chłopską — a staje się niezależnie od innych zadań przewodnikiem do szerszych, bardziej skomplikowanych i wyspecjalizowanych wytworów kultury. Mówią one, że pismo masowe podnosi swoich czytelników na coraz wyższy poziom kultury, że rozszerza i pogłębia ich zainteresowania i potrzeby kulturalne, że, co więcej, wyłania spośród nich coraz to nowych „przewodników w czytaniu”, którzy więcej wiedzą i więcej szukają i którzy — sięgając po pismo fachowe, broszurę i książkę — wykorzystują je dla podniesienia poziomu swego otoczenia. Oto też kadra rzeczywistych i potencjalnych organizatorów kultury w terenie.

Jan Danecki



Z „Chłopską Droga” zetknąłem się jeszcze w r. 1946, w czasie służby wojskowej.

Polubiłem ją wtedy od razu, a zwłaszcza środkową stronę — „Listy ze wsi”, w której wycytowałem się każdego tygodnia. Nieraz na wspomnienie zamieszczonej tam wzmianki, że komuś biednemu w terenie dzieje się krzywda, pod wrażeniem opisywanej w tych listach mozolnej walki, jaką toczyło chłopstwo i nasza Partia z panoszącym się jeszcze kulakactwem, spekulantami i tępa biurokracją — serce zrywało się mocniej do rozprawy z urogiem; to mnie zagrzewało do walki, którą toczyliśmy wtedy z bandami UPA.

Od chwili powrotu do domu stałem się jednym z prenumeratorów „Chłopskiej Drogi”. Dalej czytałem pilnie listy ze wsi, komunikaty, artykuły terenowe — porównywałem to wszystko z naszym życiem w gromadzie i doszedłem do wniosku, że u nas jest niewesoło i że ze złem trzeba walczyć. Wtedy dojrzała we mnie myśl wysłania pierwszych korespondencji. Otrzymywałem z redakcji odpowiedzi dawały mi wówczas największą radość. Przekonałem się, że mimo, iż niektóre listy nie zostały wydrukowane, nie przebrzmiały bez echa. Dzięki pomocy redakcji załatwiony został w naszym terenie szereg spraw, które hamowały nasz rozwój i psuły krew pracującym chłopom: usunięty niedołężny zarząd GS w Potoku, który paraliżował zaopatrzenie gminy, zabezpieczone rozgrabiane mienie społeczne po zdemontowanej gorzelni Potoczek, zdemaskowane oszustwa gruntowe kulactwa w wielu gromadach gminy, zlikwidowana kumotersko - biurokratyczna klika w szpitalu powiatowym w Janowie Lubelskim i wiele, wiele innych.

W odpowiedziach z redakcji otrzymywałem nie tylko wyjaśnienie, jak poruszona przeze mnie sprawa została załatwiona, ale również wytyczne do dalszej korespondencji. W niektórych wypadkach redakcja zwracała mi uwagę, bym nie pisał nerwowo (co często robiłem), kazało mi namyślać się przed napisaniem, lecz to wszystko nie rozbijało mnie, a mobilizowało i nabierałem do gazety coraz większego zaufania.

Do mnie zaś zaufania nabierali ci, w których interesie występowałem: mało i średniorolni chłopci — ci nawet, którzy w pierwszych początkach nastawieni przez kulaków bali się ze mną rozmawiać. I to decydowało o skuteczności mojej pracy.

„Chłopska Droga” łączy w sobie szeroką informację polityczną z konkretnym, rzeczowym wnikiem w sprawy terenu. Jej język — prosty, dostępny, dla każdego — dużo celnej, dowcipnej satyry. Zamieszcza obszerne fragmenty powieści polskich, radzieckich i postępowych pisarzy zachodnich — w ten sposób wprowadza do czytania literatury pięknej. Poza tym, co ważne dla wsi, prowadzi stały dział poradnictwa fachowego oraz dział popularno-naukowy.

Myślę, że „Chłopska Droga” jest jednym z najcenniejszych pomocników politycznego działacza na wsi. Zaopatruje go w niezbędną orientację i wiedzę, uczy myśleć, wzbogaca, pomaga rosnąć jako aktywności. Odczułem to osobiście: w ciągu kilku zaledwie lat wyrosłem najpierw na sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej w r. 1948, z kolei na wiceprzewodniczącą GRN i sekretarza K. G. PZPR. I dziś, kiedy pełnię funkcję kierownika Wydziału Organizacyjnego Komitetu Powiatowego, tym silniej z perspektywy lat uświadamiam sobie, ile zawdzięczam „Chłopskiej Drodze”.

Edward Suchora
Biała Podlaska

WIECH ŻYJE SOJUSZ ROBOTNICZO - CHŁOPSKI

SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA

Tygodnik „Spółdzielnia Produkcyjna” czytałem niemal od chwili powstania spółdzielni w naszej gromadzie Radów.

Co mnie najbardziej interesuje w mojej gazecie? Chyba wypowiedzi doświadczonych spółdzielców, którzy już nauczyli się po nowemu gospodarować i teraz przekazują swą wiedzę nam, młodym. Dalej, artykuły o spółdzielniach produkcyjnych w bratnich krajach Demokracji Ludowej: w Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Niemieckiej Republice Demokratycznej — pisze o tym nasza gazeta dość często. Wreszcie, najchętniej czytam o doświadczeniach i życiu kolchozów radzieckich — to jest najbardziej pouczające.

Ja, od kiedy wstąpiłam na nową drogę, chcę się dobrze wzorować na bohaterkach kobietach radzieckich, aby być lepiej, raźniej i mądrzej — i to mi też ułatwia, nasza gazeta.

Jestem od niedawna korespondentem „Spółdzielni Produkcyjnej” i dwa moje listy, choć nie były jeszcze poprawne, zostały wykorzystane na łamach pisma. Otrzymałam za to nagrodę w postaci dwóch ciekawych książek.

Nie przesadzę, jeżeli powiem, prosta wiejska kobieta, że „Spółdzielnia Produkcyjna” w krótkim czasie wychowała mnie na świadomego członka spółdzielni. A najważniejsze z tego, czego mnie nauczyła — to rozumieć krytykę i samokrytykę. Dawniej często się obrażałam, gdy mi zwracano uwagę. Od kiedy czytam „Spółdzielnię Produkcyjną”, jej krytyczne artykuły i interwencje oraz listy redakcji do mnie osobiście — ten stosunek się zmienił. Teraz chciałabym, żeby i mnie krytykowano i ktoś mi pokazywał moje błędy — bo ja moich błędów nie dostrzegam, a zrozumiałam dzięki gazecie, że się na błędach uczymy.

Leokadia Falińska
RZS Radów

Jstem pracownikiem Wydziału Politycznego w POM Wągrowiec. Przedtem pracowałem w przemyśle. Na rolnictwie niewiele się znam. Nielatwo więc przyszło mi wprowadzić się w nową pracę — tu już przyszedł mi z dużą pomocą tygodnik „Spółdzielnia Produkcyjna”, zwłaszcza zamieszczane systematycznie artykuły z dziedziny agrotechniki, hodowli, organizacji pracy w rolnictwie socjalistycznym. Żywe przykłady z terenu pomagały mi w prowadzeniu zebrań, bo mówi przystośnie „chłopa” przekonano się najlepiej przykładem. Dużą pomocą były mi także rysunki satyryczne z ostatniej strony. I krytyka pod adresem członków spółdzielni i POM-ów, która często pasowała do naszego terenu.

Tygodnik „Spółdzielnia Produkcyjna” jest dla mnie nieocenionym pomocnikiem: w tece mam zawsze powycinane ważniejsze i aktualniejsze artykuły, z których korzystam w terenie. Miałbym do redakcji tylko jedno życzenie: aby częściej omawiała najnowsze doświadczenia kolchozów radzieckich.

Edward Kantecki
POM Wągrowiec

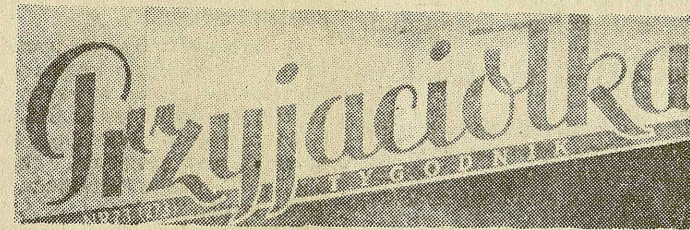
Gromada Rolnik Polski

Gdybym miał w jednym zdaniu opowiedzieć, co muszę o mojej gazecie „Gromada — Rolnik Polski”, odpowiedziałbym prosto: to „ cudotwórca”, kuźnia serc i umysłów oraz rozrywka po ciężkiej pracy.

„Cudotwórca”, bo mój orzech włoski rodzi za jej mądrą poradą, bo Grzyb Józef, Silezin Antoni, Wenek Józef i inni z jej zachęty założyli kupy kompostu, które swoim cennym nawozem użyźniają nasze ogrody, pastwiska, a nawet pola (miałem w tym roku len nad podziw — czegoś podobnego na tej działce nikt nie pamięta, a Grzyb i Silezin nie tylko ten, ale i prosa na kompostie ładnie miewają). A „cudotwórstwo” to nie zaczerpnięte, lecz naukowe, oparte na nowoczesnych zdobyczach wiedzy, dlatego tak wielkie wydaje owoce na pożytek nasz chłopski i Ludowej Ojczyzny.

Kuźnia serc i umysłów — bo wykruwa nasza gazeta pod strzechami chłopskimi nowych ludzi, nowe ich zapatrywania. Podam taki przykład: Przychodzi do mnie sąsiad, czytelnik „Gromady” i mówi: Wiedziecie co, Wenek, tytuł winien brzmieć „Gromada Rolnika Polskiego”. Bo gromada — powiada — decyduje, czy ten lub ów rolnik zastępuje na wyróżnienie, czy też nieraz trzeba go zwolnić z różnych obowiązków. Gromada za dobre chwali, za złe gani, krytykuje kumoterskie stosunki soltysa, sklepowego, Komitetu Członkowskiego itp. Czyż to nie Twoja nauka — gazeta nasza kochana, która przeobraża umysły chłopskie?

A rozrywką dlatego, bo pisana jest lekko, zrozumiale, ciekawie — i nie zmęczysz się nad nią, gdy wieczorem po całodziennym trudzie usiądziesz wraz z dziatwą poczytać, co się dzieje na świecie. Jedno tylko miałbym życzenie: aby więcej było w „Gromadzie” humoru. Humor przyciąga poczytujących — szuka za nim po całej gazecie i mimo woli czyta chociażby wszystkie nagłówki, aż stanie się natłoczonym czytania. Ale i nam „starym” czytelnikom raźniej się czyta, kiedy pisane wesołymi. Niechby też były na ostatniej stronie zagadki i łamigłówki — to ważne dla młodych. Ja swemu synowi prenumeruję „Świat Młodych” a córkom „Świeterszyczka”. I wiecie, co oni czytają? Najwięcej bajki i zagadki. Tego mam dosyć, bo stale muszę rozwiązywać nowe zagadki. Niech spróbuję którejś nie odgadnąć, to radość córkom wyściska z oczu, że tata nie wie, a one wiedzą. Więc apeluję do redakcji, żeby dawała więcej humoru i łamigłówek, to się młodzi w długie wieczory poschodzą i od humoru, łamigłówek zacząć czytać i stronę polityczną, a z tego będą czytać i całą gazetę.

Józef Wenek
Łukowa, pow. Biłgoraj

TYGODNIK „Przysiadłka” dociera prawie do każdego domu w naszym kraju, tak w mieście, jak i na wsi. Dlaczego „Przysiadłka” jest taka poczytna? Bo „Przysiadłka” nie tylko informuje kobiety, nie tylko poszerza naszą wiedzę o świecie, ale potrafi dobrze poradzić w wielu osobistych kłopotach i troskach, dopomóc w wielu praktycznych problemach naszego codziennego życia.

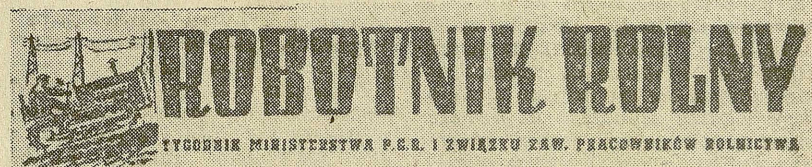
Ważny dział „Radości i smutków” — jest on pisany w języku tak prostym i takie codzienne sprawy porusza, że niejedna z nas znajduje tam na swoje kłopoty odpowiedź i radę.

Tak samo w „Listach Pani Ireny”, „Przysiadłka odpowiada” i „Radzi” sobie wzajemnie, gdzie wymieniamy między sobą swe doświadczenia same czytelnice. Kobiętom, gospodarującym w domu, które gotują i szyją, bardzo dużo dają pokazy kroju, wzory robót ręcznych oraz rubryka „Co gotujemy na obiad”. Krótko, ale rzeczowo prowadzone są w każdym numerze notatki z pracy Kół Gospodyń Wiejskich.

Bardzo popularne wśród czytelniczek są „Rozmowy z lekarzem” — a ważne są one szczególnie na wsi, gdzie tak często jeszcze trzeba toczyć boje z babskimi zabobonami. Dla młodych dziewcząt dużą rolę odgrywa stała informacja o szkoleniu w różnych zawodach. Danuta Hertel czołowa w naszym województwie bibliotekarka (pracuje w Powiatowym Domu Kultury w Iławie) właśnie „Przysiadłkę” zaudzieca ten piękny zawód, w którym teraz tak jest rozmiłowana; w niej to wyczytala o szkoleniu bibliotekarzy.

Przejdźmy na ostatnią stronę pisma: „Mówią korespondenci”. Tu z radością czyta korespondent swoją notatkę. Bo na taką armię korespondentów jak w „Przysiadłce”, na taką ilość listów, jeśli coś się umieszcza, to naprawdę musi wiele dać społeczeństwu. Wreszcie dział zagadek i rozrywek — bardzo popularny wśród czytelniczek.

W moim osobistym życiu gazeta ta odegrała bardzo wielką rolę: była mi „Przysiadłką” nie tylko z nazwy. Nauczyłam się z niej wiele. Odpowiedzi na listy, szczere, życiowe rady zachęciły mnie do tego, że w 1947 r. napisałam długi i szczery list o moich kłopotach osobistych. Prawda, że czekałam na odpowiedź dość długo, ale otrzymałam tak serdeczną, że mnie wzruszyła do głębi. Pierwszy obszerny mój artykuł „Dlaczego podpisałam” powstał w czasie zbierania podpisów pod Apellem Pokoju. Na ten artykuł dostałam bardzo dużo listów od ludzi, którzy myślą tak jak i ja. Ale i kilka anonimów, w których groził mi wróg klasowy. Z dumą muszę powiedzieć, że moje następne listy spełniały zadanie, skoro interwencje na terenie naszego powiatu okazywały się skuteczne, uderzały w kumoterswo i brakorobstwo oraz w pijaństwo.

Wanda Augustynowicz
Iława, pow. Sułz

Robotnik Rolny” nosi charakter głównie produkcyjny. Dzieląc się z czytelnikami osiągnięciami co lepszych PGR, uczy pracy w gospodarstwie socjalistycznym. Tak samo pokazując krytycznie błędy i niedociągnięcia wskazuje innym, czego należy unikać w pracy. Wiele takich artykułów pozwoliło i nam dostrzec błędy i zlikwidować je.

Dobre redagowany jest krytyczny dział pt. „Kłonica”. Umiejętnie opracowane, często z użyciem humoru i ironii, ilustracje i podpisy przyjmowane są z zadowoleniem (proszę nie myśleć, że przez tych, kogo przedstawiają). Szerokie uznanie zdobyły sobie satyryczne artykuły Wojciecha Skowrona. „Począ Robotnika Rolnego” — to niezbędna rozmowa z czytelnikami. Tak samo ważny dział „Prawnik radzi”.

Materiały szkoleniowe pozwalają usuwać stare metody gospodarowania i uprawy gleby. Podnoszą wiedzę zawodową. Sądzę tylko, że za mało jest przykładów z pracy sołchozów radzieckich — redakcja winna zamieszczać je w każdym numerze.

Wiadomości z kraju i zagranicy podane zresztą bardzo jasno i zrozumiale — też moim zdaniem, zbyt skąpe. Czytelnicy na ogół czytają tylko jedną gazetę, więc chcieliby mieć więcej wiadomości ogólnych.

Cenną inicjatywą było wprowadzenie działu „Młody Robotnik Rolny” — zagadnienie młodzieży jest u nas palące. Jest to dział jeszcze młody i skromny — trzeba, abyśmy mocniej zachęcali naszą młodzież do współpracy z gazetą.

Tyle moich uwag do naszej gazety. Jakże miłabym wnioski! Najważniejszy jest taki: uważam, że „Robotnik Rolny” winien wychodzić nie raz, ale dwa razy w tygodniu. Mogłoby wszystko ujmować szerzej i lepiej, służyłby czytelnikowi, który przeważnie poza nim żadnej innej gazety nie czyta. Dobrze byłoby, aby gazeta, wychodząc dwa razy na tydzień, dawała do niedzielnego numeru okładkę ilustrowaną wzorem „Gromady”.

W naszym gospodarstwie „Robotnika Rolnego” prenumerują wszyscy pracownicy, od samego początku czytamy go wspólnie i dyskutujemy. To dużo nam dało, zwłaszcza przy wykonaniu planów w r. 1952. Ustrzeżliśmy wszystkie plony od strat, nie zmarnowaliśmy ani kłosa, ani okopowiny, wykonaliśmy plan produkcji zwierzęcej. Podniosła się dyscyplina pracy, ulepszył rozrachunek gospodarczy, wzrosła troska o mienie społeczne.

Andrzej Gaska
PGR Łyszkowice
pow. Łowicz

RYSZARD PSZCZÓŁKOWSKI

KROMKA CHLEBA

(Opowiadanie)

Tuż za Bahnkomando posuwał się podpierając się okutą laską wysoki, przygarbiony Bahnschutz, wyrzucając co chwila z gardła chrząpliwe okrzyki: „Loos, Loos, schnell, schnell!”

„Psiakrew!” — zaklął ktoś z cicha, mierząc wprawny okiem długi jak tasmiemiec rząd wagonów nadawanych po brzegi kopalniakami — „Do rana nie uporamy się z wygruzowaniem!”

Jakoż po chwili kilku zwinniejszych wdrapało się na wagony i strącało łopatami wielkie czapy śniegu, które nakryły wagony, a teraz srebrzystym puchem sypały się na głowy czekających na dole.

Wreszcie zgrabiałe, popękane od deszczu i wichury ręce poczęły chwytając oszłizłe bale, odrywając je z trudem jeden od drugiego.

„Te cholery — mruknął ktoś — pokradną chyba wszystkie drzewa w Rosji. Dzień w dzień zajeżdżają tutaj dziesiątki pociągów z drzewem, a te diabelne kopalnie w Gelsenkirchen żrą je i żrą bez liku. Może się wreszcie nim kiedyś udławiać!”

„Oby jak najprędzej!” — odrzekł nagle z góry słyszając wymyślaną starą Walendziką, chłopca z Siedleckiego, który miał dobre serce i zawsze litował się nad „biednym” jak mówił „drzewkiem” ściągającym przez hitlerowców z całej Europy do kopalni Westfali.

„Łapać!” — zawołał rzucając mu pod nogi żartem obłożony okraglak i odwrócił się, aby sięgnąć po następny.

I nagle... ręka moja natrafiła na coś miękkiego, podługnego, co w żadnym jednak wypadku nie przypominało drzewa. Ręka moja dotknęła chropowatego, zmrożonego sukna, które nagle poruszyło się.

— Ki diabeł? Niemiec? Pasażer na gapę, czy jakiś zbiedz?

— Rzucaj! — zakrzyknięto z dołu. — Czego się grzebieisz? Nie wygruzujemy tego wagonu do młodych kartofli!

— Cichoch... — syknął — tu ktoś jest.

— Cooo? — odrzeknięto z dołu, ale nie zdążyłem odpowiedzieć, bo oto postać leżąca pomiędzy balami poruszyła się, a z niewidzialnych ust popłynął szept:

— Tawariszcz — daleko do fronta?

— Jeniec rosyjski! — zaświtało mi nagle w głowie. — Aleś się, bracie, wybrał w odpowiednią stronę! O ironio losu...

LUDWIK MAJ

O SATYRZE I KARYKATURZE

(Na marginesie narady satyryków)

poważniejszej treści, o dość wąskiej tematyce, bez ścisłego związku z terenem, bez wnikiwości w obserwowanie uciążliwych zmian w taktyce wroga. Nie umiemy walczyć skutecznie z niechlujstwem nierobów czy biurokratów.

Ważymy dla przykładu obrazy spekulantów w karykaturze „Szpilek”. Grzeszą one bardzo często błędem nazywanym „schematyzmem”. Spekulant w tych rysunkach, to przede wszystkim grubas z workiem pieniędzy, obłożony towarami, z sepiami szponami palców, z odrzucającą twarzą.

A przecież taki spekulant, to już dziś rekwizyt. Zmienił się on stosownie do potrzeb w łagodne owieczkę, ciępiącą „ofiary reżimu”, ciagle narzekającą na biedę i ciężkie czasy, chodzący do kościoła, po prostu „aniołek” starający się o „pomoc” dla biedaka, „aniołek” z niewinną twarzą „świętobliwego męczennika”.

I to nie wszystko! To dopiero jedna strona „twarzy” współczesnego spekulanta — ta dla „pospółstwa”. Druga strona jest dla władzy: to „postępowość”, deklaratywne zapewnienia, hurra - patriotyzm — oczywiście tylko w „cztery oczy” z przedstawicielami władzy.

Dziesiątki takich spekulantów można by po nazwisku „wyrzucić” z „terenu. W jednej z gromad na przykład wiele zamętu narobiła wieść, że bibliotekarz gminny — i w jednej osobie organista — został produkującym bibliotekarzem i to w skali centralnej! A przecież książek on nie popularyzował — ba, odwrotnie! Jego jedyną pracą były sprawozdania z akcji upowszechniania książki, z przeprowadzonych konkursów o dobre czytanie, z sprawozdania „lipne”, w których prawdy nie było za grosz. Poza tym jako „produkujący korespondent” wysyłał notatki do prasy „demonstrujące” sekretarza K. G. Partii prezesa GS, czy innych, a rzetelnych aktywistów.

Władze zwierzcnie, do czasu wprowadzane w błąd, widziały — aktywiste, chłopstwo pracujące — wyszyskiwacza. Dopiero w czasie zakładania spółdzielni produkcyjnej jego spekulancie „nerwy” nie wytrzymały — poszedł do chłopca średniaka i zaklinał go w imię boże, by nie „sprzedawał gromady diabłu”.

Owśredniak jest dziś przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej, a „produkujący” bibliotekarz jest już tylko „organista”.

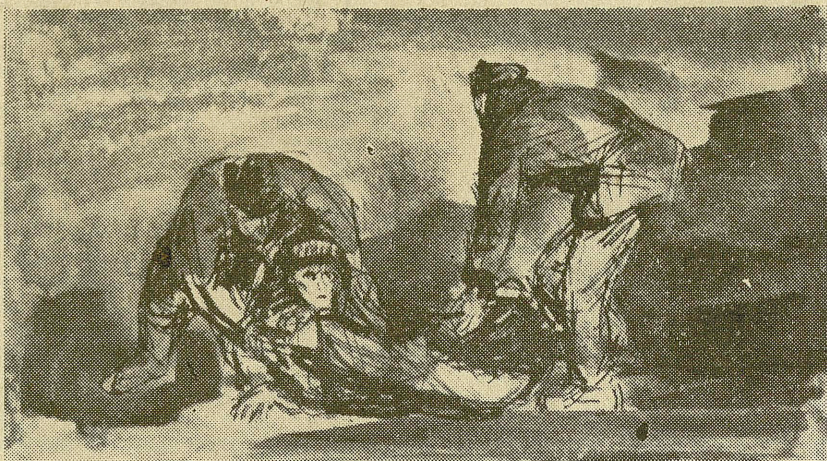
Jak uchwycić w satyrze takiego wroga? Jak pokazać go w karykaturze? Trzeba dobrze zrozumieć i wczuć się w jego pozycję, trzeba pokazać go w niesfałszowany sposób (oczywiście można jego rolę podnieść do „potęgi”) — a wtedy będzie nie tylko zdrowy humor, ale i wykryty i pokazany wróg klasowy.

A takie typy znajdziemy w każ-

chwili znowu cichutki szept. — Dalioko do fronta?

— Padaż! — wygrzebałem z pamięci znajome słowa — siejczas pagawarim.

Rzuciłem znowu kilkanaście kopalniaków, aby dostarczyć roboty tym na dole, i teraz dopiero mogłem nawiązać jako tako rozmowę z moim przygodnym gościem. Bahnschutz przeszedł akurat obok po-



Rys. K. Latało

rykując swoje: „Loos... loos, schnell, schnell!” i wsikał w ciemność.

Wtedy gwizdnął z cicha na Walendzikę.

— Rusek? — szepnął mi do ucha trącając łokciem.

Z trudem podźwignęliśmy go. — Do breka z nim! — zdecydował szybko Walendzik Misza, bo tak, jak się później okazało, zwał się nasz „przybysz”. Usiłował podźwignąć się, co mu się jednak nie udało. — Ale go urządził cholery! — zaklął Walendzik.

Gdy miałem już zatrzaskać brek, Misza wyszeptał jeszcze trzy słowa: „Druzja, Pałaki — kuszać!”

Obmacałem szybko kieszenie. W jednej z nich znalazłem kromkę czarnego, suchego chleba nadgryzionego już przeze mnie na „frysztyk”. Misza wyciągnął po nią zinną, wyschniętą ręką takim gestem, jakim tonący wyciąga dłoń po deskę ratunku.

„Tylko kuszać pomaleni!” — szepnąłem znowu, zdawałem sobie bowiem sprawę, że kromka ta może kosztować go życie. — Spasibo, balszozje spasibo! — odszepnął Misza, przytrzymując moją rękę.

Misza został już u nas.

Nie wpadł w ręce siepaczy hitlerowskich. Stara babka Kornacka, nasza oberaczka kartofli, której „pałec” (polski dowód osobisty) nie był już potrzebny, skończyła bowiem 60 lat, ofiarowała mu swój dowód osobisty, który po pewnych poprawkach i skrobaniach opiewał teraz na nazwisko „Pałaka” — Michała Kornackiego.

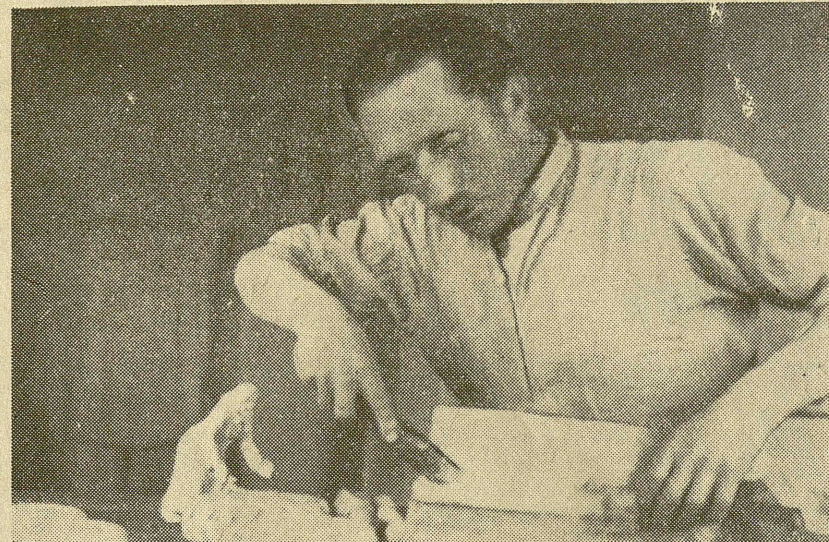
Wkręciliśmy Miszę do naszego Bahnkomanda. Durny Bahnschutz, który nigdy nie mógł się nas doliczyć, nigdy się też nie dowiedział, że wśród nas żyje i oczekuje chwili wyzwolenia Misza, jeden rosyjski, przybyły z dalekiej Łotwy, którego towarzysze tam na Łotwie spełniając jego życzenie „zapakowali” do wagonu z kopalniakami chcąc mu w ten sposób umożliwić dotarcie na front.

Znał tutaj pomoc, serce i kromkę chleba u polskich przyjaciół, kromkę chleba, której nigdy nam nie zapomnieli, kromkę czarną jak jego ziemia razowca, kromkę, o której wciąż wspominał gawędząc z nami w wolne wieczory zimowe i opowiadając nam o pięknej, szerokiej Ukrainie, o swoim kotchozie, który trzeba będzie odbudowywać po wojnie i niepotrzebnie wcale zapewniał nas, że kromkę tę zwróci nam z podziękowaniem w przyszłości...

Zwrócił mi ją w rok potem jego brat — Wasyl, gdy los zagnał mnie na okopy pod Olsztyn. Był również w takim samym szarym płaszczu i śpiewał przy akompaniamencie świszczącego wiatru pruskiego, sygnącego w czy śniegiem, „Rozkwitały jabłoni i gruszy”. Wasyl, wiecznie uśmiechnięty Wasyl wygrzebał wtedy kromkę chleba z kieszeni podszytego wiatrem szynela i podał mi ją w chwili, gdy padałem z głodu i zmęczenia w mroźny styczniowy poranek przy rozbijaniu zamrożonej ziemi, po której toczyły się wielkie czołgi z czerwona gwiazdą, niosące ze sobą dla mnie i mojego kraju nie tylko wolność, ale i chleb — dużo chleba, którego nigdy już nie zabraknie dla nikogo w naszej Ludowej Ojczyźnie.

Za to wszystko odpowiadam i mojemu Miszy, i mojemu Wasylowi, i wszystkim ludziom radzieckim tymi samymi słowami, które wywrzeły mi Misza w breku „to-warniaka” w Gelsenkirchen „Spasibo, druzja” — balszozje spasibo!

Ryszard Pszczółkowski



Tadeusz Szkodziński przy rzeźbieniu cyklu „Żniwa”

KRYSZYNA PAŁYS

„ANTEK” OSTRZEGA!

SIEDZĄC w domu pomagał czasem przy gospodarstwie, albo przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już prócz kozika miał dółko, pilnik i swiderkę i władał nimi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów poczęły nawet kupować Mordko, szynkarz. Na co?.. Antek o tym nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanemu samouka, nie gorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tym bardziej nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Albo kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie grusze i wiśnie, choć niby

prof. Świeży, oglądał jego „Prządke” i „Gzymsy” (prace powojenne) i zaproponował, żeby wystawił je na wystawie sztuki ludowej Podlasia w Białej. Dziełem nieznanego rzeźbiarza zainteresował się Wydział Kultury przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie i zakupił eksponaty, które obecnie znajdują się w Muzeum Ziemi Lubelskiej. Sam artysta otrzymał zaproszenie na zjazd twórców ludowych w Lublinie, a tu wybrano go jako delegata na zjazd warszawski. W stolicy zobaczył wielu takich jak on, którzy do niedawna tworzyli w odcieciu od świata i anonimowo, dając tylko uśmiech wrodozom zamiłowanym i pedowi do piękna. Zobaczył ich dorobek.



Babka z sierdem

wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek.

W tym, co wyżej przytoczono z noweli Prusa, trzeba tylko zmienić imię Antek na Tadek, nadmienić, że wioska leży nad Bugiem nie nad Wisłą, a nasz rzeźbiarz nie poszedł w świat. Został w rodzinnej wsi. Wiesz ta nazywa się Łazna i leży osypana piącem na równinie, bijącej niewielkimi ciekami białych chłapów.

U Jana Szkodzińskiego, gospodarza na sześciu morgach pachu, przychodziło na świat jedno dziecko po drugim. Gdy doliczył się dwunastego, Tadek miał już kilka lat. Stary strugał kołodrotki a miał do tego żyłkę i sławę we wsi. Nie zdążył jednak wyuczyć sztuki chłopaka, zmarł przedwcześnie, zmiażdżony połamaniem. Tadek nie dociągnął do szóstej klasy, poszedł na służbę do droźnika i pasał krowy nad Bugiem.

W niedzielne przedpołudnia gapił się jak zahypnotyzowany na kaplać od pozłoty figury w ołtarzu kościelnym, a gdy wracał do domu, chwytł za noż i zacyzał z pasją obrabiać wyciągnięty z kąta klocek cściżyny. W pierwszej fazie jego twórczości powstały różne światełki do przydrożnych kapliczek, ba — doczekał się nawet zamówienia nie było jakiego. Do dziś stoi na chórze kościelnym Dawid grający na harfie.

Etap światełków zakończył przymusowy wyjazd na roboty do Niemiec hitlerowskich.

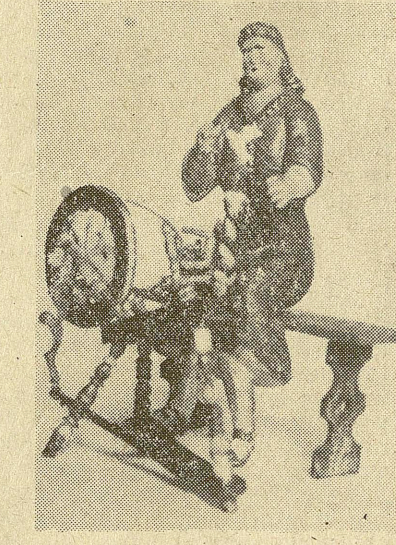
W maju 1952 roku odszukał Tadeusza Szkodzińskiego znawca sztuki ludowej regionu lubelskiego,

gminie Łaznów

Ujeździe i Kuluskach. Posyłanie reportaży o pracy swej szkoły, o wyróżniających się uczniach wprowadzenie audycji, chórów, orkiestr, deklamacji zbliżył wieś do szkoły, ożywił pracę kulturalną — oświatową w terenie.

Dziesiątki spraw i problemów nasuwa życie, warknie życie Polski Ludowej kroczącej do socjalizmu. Kto jak kto, ale nauczyciel powinien czuć się odpowiedzialny za swój teren, za całokształt pracy politycznej i kulturalno — oświatowej a także gospodarczej. Aby temu sprostać, trzeba dać z siebie więcej pracy i to zorganizowanej, planowej. Trzeba nauczyć się posługiwać nowoczesnymi instrumentami i narzędziami pracy politycznej i oświatowo — kulturalnej, jakimi są: książki, prasa, radio, gazeta, film, kino, teatr itp. Naclerać należy na pozycję ciemnoty i zacofania przy pomocy nowoczesnej broni, jaką nam daje oświata i kultura Polki Ludowej.

Stanisław Krakowiak



Prządka

jedynego rzeźbiarza ludowego w Lubelszczyźnie?

Dolychczas bowiem nie widać zainteresowania twórcą ludowym ze strony prezydium PRN, chociaż jego prace jako jedyne reprezentowały na wystawie w Białej rzeźbę ludową.

Czy „Cepelia” nie ma obowiązku otoczyć opieką Szkodzińskiego, tzn. po pierwsze, objąć jego prace stałymi zamówieniami i po drugie znaleźć miejsce dla rzeźbiarza w swoich warsztatach?

Ma obowiązek, bo rzeźbiarz jest młody, utalentowany, pełen zapału i inicjatywy, a żyje na całe szczęście nie w czasach, gdy Bolesław Prus, święty nowelista i powieściopisarz szukał w pozytywizmie drogi do ustroju sprawiedliwości.

Krystyna Pałys

Rocznice

EMERSON

ROCZNICE — mówi wielki pisarz amerykański Howard Fast — są może z natury już nudne. Ale jak bicie zegara uprzytomniają bieg czasu, a niekiedy wskazują na późną porę. Rocznicę zatem to czas porównań i wspomnień, zastanowień i wniosków.

A mija właśnie lat 150 od przysięgi na świat jednego z wielkich w Ameryce. 25 maja 1803 r. w Bostonie urodził się Ralph Waldo Emerson. Pisarz i moralista, przede wszystkim zaś niestrudzony wychowawca, głosił wiarę w człowieka, w jego przyszłość, w polegę jego woli, która przeobrazi życie na ziemi. Należał do pokolenia tak wspaniałych umysłów, jak Henry Thoreau i Horace Greeley, Bronson Alcott i Wendell Phillips, Frederick Douglass i Walt Whitman. Należał do pokolenia, które raz po raz pchało naprzód oporną, ale ze szlachetnego kruszcza zrobioną, bryłę Ameryki.

Był utopistą, myśli jego szybowały wysoko nad chmurami. „Zaprzęgnij swój wózek do gwiazdy” — radził ludziom. My wiemy, że spełniają się niedościgłe nawet marzenia, wiemy, że wola ludzka potrafi osiągnąć gwiazdy. Urzeczywistni się wizja Emersona, wizja braterstwa i szczęścia, choć jego ofiżymy zaśmuchała dziś gesta i czarna pawłoka chmur.

W Nowym Jorku nie było w tym roku pierwszomajowych pochodów. Burżuazja nie mogła znieść widoku sili proletariatu. Obwarowała się murem zakazów, schroniła za pieczy policjantów. Zmasowano ich trzydziście tysięcy. Odbito się jednak wielkie zebranie na Union Square. Przemawiali Paul Robeson i Howard Fast, pieśniarz i poeta.

Fakty te mają znamienne wymowy. Świat robotniczy zostało wzbudzone w kraju, gdzie się zrodziło. A w pierwszych szeregu walczących proletariatu stoi dziś przedstawiciel rasy uciśnionej i przedstawiciel postępowej myśli, wypartej z powierzchni życia, z jego zewnętrznych kształtów: z pracy i radia, filmu i biblioteki.

O prasie, radio i filmie mówiło się już sporo. Cytuję świat wie o monopolach prasowych, o Szekspirze w obrazkach, o nieobicij gupcie filmowych wersji Dickensa i Waltera Scotta.

Przyczyny tego są proste, co nie pomniejsza ich grozy. Burżuazja amerykańska z całą świadomością zabija dobrą książkę. Do tego celu służy sposób wydawniczej produkcji i bezpośredni nacisk.

Andrzej Skiba

CZU JUAN

PIĄTEGO dnia piątego księżyca, w czerwcu zeszłego roku, byłem w Nankinie. Wszystkie sklepy i kramy były pozamykane. Nankin obchodził Święto Smoka, Tuan Jang. Zjedliśmy tradycyjne danie z łosci bambusa serwowanych ryżem. Na jeźdźce zawodził Łódź Smoka przy cięciu baczynnym nacięciu tłum. Stateczki z każdego lata przebiegały w tym samym dniu te same trasy, od roku 247 przed naszą erą. Wtedy, przed wiekami, rybacy nie myśleli o zabawie: poszukiwali cię, które spoczęło na dnie jeziora Tungting. Wielki Czau Juan utonął. Czau Juan, mąż stanu i człowiek pióra, pisał poematy i szkice filozoficzne. „Czy zawsze mam mówić szczerze i bez obłotek — pytał — lekceważąc niebezpieczeństwa na jakie to mnie może narażać, czy też mam się stosować do powszechnego zwyczaju, wielbić bogactwa i możność i w ten sposób zapewnić sobie przyjemną egzystencję? Czy pozostać prawym i nieprzejadnym, czy też stać się śliskim jak poleć stoniny, gietkim jak rzemień i przystosowywać się do każdego okoliczności? Czy mam wznieść się i opadać na falach, by sobie zabezpieczyć życie?” I Czau Juan odpowiedział: „Nie”.

Czau Juan umarł 2200 lat temu. Jest jeszcze wciąż bardzo żywy. Raz do roku zatrzymuje życie ciałych Chin. Za Kuomintangu lud chiński myślał: „Ach, gdyby wśród tych co nami rządzą był człowiek taki jak Czau Juan!” Dziś naród chiński wie, iż rządzą nim ludzie podobni do meżów stanu wzorów, których postacie malował Czau Juan w poemacie Wielkie Napięcie, przeciwstawiając ich despotom i dworakom, jacy pchnęli go do samobójstwa. Wyzwolony naród chiński wie, że na jego czele stoją ludzie, którzy

Wzywają meżów, by zasiedli w radzie, Przy ich pomocy wykryć chcą tajemne Smutki, niedole i troski prostactków, Chcą wspomóc biednych.

Dziś spełniły się wreszcie nadzieje poety i ministra. Nadszedł dzień, gdy w ciałych Chinach

Krzęta się w polu, wiosce i na drodze Mrówie szczęśliwych ludzi.

Łódź Radosnego Smoka zawinęła do portu.

Claude Roy

LUIS TARUC

MÓJ NARÓD BĘDZIE WOLNY

Fragment końcowy autobiografii Luis Taruca, nacelnego dowódcy Hukbalahap, sił zbrojnych filipińskiego ruchu wyzwolenia.

Ostatnie karty tej książki piszę w malej bambusowej chatce na zboczu góry wznoszącej się ponad środkową równiną wyspy Luzon. Może trzeba będzie opuścić ją bardzo szybko, kto wie czy nie dziś jeszcze. Nieprzyjaciół jest bardzo blisko.

W chatce nie ma żadnego sprzętu ani stołka. Notatnik trzymam na kolanach. Strop jest tak niski, że nawet siedząc muszę pochylać głowę. Stołeczka przenika przez gąsienice w górę i bambusowy dach. W puszczy jest bardzo cicho. Słyszę jak nieco poniżej na zboczu pluszczę wśród skał mały strumyk, z którego czerpiemy wodę do picia. Tuż, krajozmy ptak, odzywa się z gęszczy drzew. Świerszcze dzwonią bez przerwy, basowym rechotem odzywa się chór żab. Są to wszystkie odgłosy pokoju. Zdumne. W każdej bowiem chwili zagrać mogą armaty.

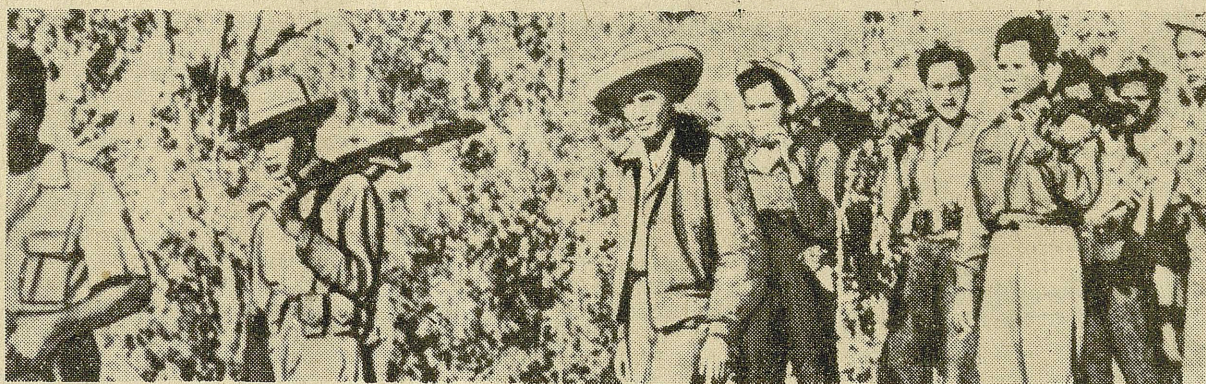
Pod drzewami, o dziesięć metrów stąd, są inne chatki chociaż ledwo je widać. Są to niki kompania żołnierzy Hukbalahap. Nie mają mundurów, są bosi i półnagzi. Nie wydają na wojsko, ale są wojskiem.

Tak wygląda ruchoma kwatery ludowej armii wyzwolenia.

Siedzę w tym szczupłym, pustym, pierwotnym ukryciu i kończę książkę o biegu mego życia. A każdej chwili może je przerwać strzał zbrojnych najemców tyranii. O życiu piszę więc wśród śmierci. Ma to znaczenie, ponieważ chodzi nie tyle o własne moje życie, ile o życie ruchu, do którego należę i o sprawę ludu, której ten ruch służy. Tule nie śmierć jest doniosłym zdarzeniem, lecz narodzinami, których przyczyną jest nasza walka.

Do napisania tej książki skłonił mnie towarzysze. „Napisać o sobie — mówili — dla ludu jesteś symbolem ruchu”. Gdy jednak przeglądam jeszcze raz te karty, widzę, że jest w nich znacznie mniej o mnie niż o samym ruchu. Tak być powinno. Ruch ludowy powstaje z życia wielu, wielu ludzi i wszystkich wałki, o których pisałem, są tylko częścią życia narodu jako całości. W swym sensie najistotniejszym książka ta nie jest autobiografią. Jest rozdziałem biografii ludu filipińskiego.

Nasza obecność wśród puszczy nie jest dziś zjawiskiem wyjątkowym, odosobnionym. To samo czy-



Oddział partyzancki wojsk ludowych, w środku Luis Taruc, wódz ludu filipińskiego

nia żołnierze ruchów wyzwolenia w Indochinach i na Malajach, w Indonezji i w Burmie i wszędzie tam, gdzie masy ludowe Azji są w ruchu. Te fakty są wszędzie i powstają się wszędzie, a wysoko nad nimi wznosi się fakt olbrzymi, że naród chiński wyłonił się ze swych gór i ze swych chatek w lasach i ukroczył do miast i miasteczek, które stały się jego własnością.

Na szupkach narażonych chatki wisi cały mój majątek: lekki wypchany plecak oraz karabin. Obydwa są niezamierzonym darem imperializmu amerykańskiego. Nikt wśród nas nie ma więcej. Ale jest jedna rzecz jeszcze jaką wszyscy mamy: miłość i bratnią przyjaźń jeden dla drugiego i dla tysięcy takich jak my w tysiącach takich chatkach rozsiadanych po całym kraju; miłość i przyjaźń całego ludu, dla którego jesteśmy nadzieją przyszłości. Wystarczy to by w nieskończoność podtrzymać siły człowieka, jego ciała i jego ducha.

W ciągu ostatnich lat ośmiu siedem lat żyłem jak żyje dzisiaj, wśród lasów i trzaskawisk, ścigany i poszukiwany, z nagrodą 100 tysięcy pesos wyznaczoną za moją głowę. Ale nigdy nie czułem się „na zewnątrz”. Przeciwnie, jestem wewnątrz, tuż przy sercu narodu. Jesteśmy wewnątrz wałki. Ktośkolwiek do wałki przylączył się dzisiaj, kto wstępuje do ruchu ludowego, otrzymuje miejsce wewnątrz najbardziej rozstrzygających wydarzeń naszych czasów. Jest to rola dumna i godna zazdrości.

Nie żyjemy, oczywiście, normalnie. Życie powstańców jest nieraz bardzo dziwne. Żołnierze z chatki sąsiadnych śpiącej na przykład tyl-

ko w ciągu dnia — w nocy muszą być w akcji. Bardziej ich cieszy noc bezkieszykowa, niż południowe słońce. W dzień panuje ucisk, policja i strażnicy. Ale gdy noc zapada równina staje się wyzwoloną obszarem, gdzie lud z otwartymi ramionami przyjmuje naszych żołnierzy.

A wkrótce już, gdy wjeżdżają stołeczki naszego zwycięstwa, dzień również będzie do nas należał.

Powstanie też cieszy się, kiedy deszcz pada: wówczas okolicę pokrywa głębokie błoto, powstaniec jest bezpieczny. Czoty, wozy pancerne i buty policjantów grzęzną w błocie i stają się na nic. A huk może poruszać się swobodnie — nawet w ciągu dnia. „Hukowa pogoda” mówimy, kiedy deszcz leje i możemy planować akcje.

Robimy także plany na przyszłość dnia kiedy deszcz będzie oznaczał dla nas czas na sadzenie i sianie, będzie oznaczał nadzieję dobrych zbiorów.

Gdy głowę trochę przechylam, widzę poprzez drzewa sporą część Środkowego Luzonu. Równina kapie się w słońcu, przecina ją cienka chmura i widzę nieubytowane wioski ukryte wśród drzew, opasane zewnątrz przez pola ryżowe. Znam każdą wioskę, a jest ich wiele. Byłem tam uścisnąć i znam wszystkich, których znam. Mogę wykreślić drogę mego życia od wioski do wioski, jak urobiona odczytujący linie dionizy.

W okresie „amnestii” w 1943 r. odwiedziłem prasie, że jestem komunistą. Robotnicy i chłopcy uznali to za słusne, ale niektórzy ludzie wyrażili zdumienie i oburzenie. Wykrzykiwali, że obca ideologia o-

panowała ruch chłopski i wykonuje polecenia komunistów ze Związku Radzieckiego. Gdyby ktoś z tych ludzi był tutaj razem ze mną, mógłbym mu teraz pokazać dokładnie miejsca, gdzie nauczyłem się i przyjąłem logikę, prawdę i konieczność Komunistycznej Partii Filipin.

Pokazałbym im dokładnie miejsca, gdzie pracowałem w polu, miejsca, gdzie policjanci strzelali i zabijali strajkujących chłopów i miejsca, gdzie położone są największe majątki ziemskie. Mógłbym im wskazać każdą widoczną ślad wioski i powiedzieć jak ludzie tam żyją, powiedziec co posiadają, co umieją, czego się nauczyli i jakie są ich widoki szczęścia. Mógłbym wskazać wioski, skąd obszarnicy wyrzucili dzierżawców i gdzie teraz strzelają do nich policjanci. Mógłbym pokazać olbrzymie posiadłości armii amerykańskiej. I dowiodłbym wówczas, że ideologia, która polepszy życie ludzi obca jest nie ludowi, lecz obca jest tym, którzy rządzą i wyzyskują lud...

Iluz to ludzi w naszych dziejach było tak jak ja żyję teraz, w ukryciu i walcząc o wolność wśród naszych lasów i gór? Diego Silang, Juan de la Cruz Palaris, Apolinario de la Cruz, Francisco Manglo del Pilar i Malvar — cała nasza historia rozbrzmiewa imionami tych, którzy walczyli o wolność Filipin, o zwalenie tyranii. Ich walkę nieukończoną my doprowadzamy do końca.

Słońce zachodzi. Budzą się żołnierze kompanii. Muszę iść. Po wsiach ludzie czekają na nas.

Trzeba znów wziąć się do pracy — musi być wykonana.

Luis Taruc

GEORGE BIDWELL

Słoń w składzie porcelany

eksport spadł z 20 proc. całości produkcji na 6 proc., i dalej spada.

Radziecka i chińska inicjatywa pokoiu rzuciła byznesmanów i ekonomistów Zachodu w objęcia zupełnej paniki. „Manchester Guardian” mówi o „delikatnej równowadze ustroju kapitalistycznego, która opiera się na dźwigni zamówień gospodarczych” i wskazywał, że rokowania pokojowe „mogą stanowić cios gospodarczy dla świata zachodniego”. Jeszcze wyraźniej pisał „Economist”: „Na Wall Street już w końcu marca przeczuwano coś niedobrego. A potem nagle odżyły nadzieje pokoiu na Korei i zastój na Wall Street zmienił się w ostry spadek kursów. Gwałtownie obniżyły się ceny oliwiny, cynku, cyny i kalcunku, a ceny innych artykułów również uległy wstrząsowi i załamaniu”. Prasa amerykańska wyrażała się niemniej szczerze: „Główna nowojorska przelająca wiadomość (inicjatywa pokoiu — G.B.) bardzo źle. Kursy spadły, szczególnie kursy akcji lotniczych”.

Gdy byznesmeni załamali ramiona i wzywają Waszyngton na ratunek, farmer amerykański pozostał w spokoju. W roku 1951 — 1952 USA eksportowały 460 milionów buszli pszenicy. W tym roku, według ocen Departamentu Rolnictwa, eksport ten będzie niższy o co najmniej 1 proc. Rynek kapitalistyczny odczuwa trudności w sprzedaży tekstyliów, co odbija się na wywozie bawełny z Ameryki. Zdaniem prasy spadnie o 6 milionów bali w roku ubiegłym na 4 miliony w 1953 r. „US News”

wskazuje, że farmerzy bicia są podwójnie: przez poważny spadek cen żywności, wełny i pszenicy oraz przez wzrost cen narzędzi rolniczych. Są to tak dobre nam znane sprężdy wojny osławione nożycami. W ciągu ostatnich paru lat pół miliona farmerów opuściło swe gospodarstwa, a długi pozostałych wzrosły dwukrotnie od 1945 r. i wynoszą obecnie 15 miliardów dolarów. Co prawda ceny detaliczne na żywność są wciąż „podniebne”, jak mówi nowojorski „Time”. Ale rolnik otrzymuje zaledwie 16 proc. z ceny detalicznej chleba, sadownictwa 5 proc. ceny jabłek i brzoskwiń, 5,5 proc. ceny pomarańczy. Farmer nie może się bronić, gdyż jest na lasce wielkich monopolu zakupu i dystrybucji.

Wszystkie te zjawiska powodują systematyczny spadek poziomu życia szarego obywatela w Ameryce. Długi krótkoterminowe konsumpcyjne wzrosły od 1945 r. czterokrotnie i wynoszą blisko 24 miliardy

dolarów, a długi hipoteczne, ciężące na właścicielach domków i mieszkań, wzrosły z 19 na 59 miliardów. To też bankierzy i ekonomiści głośliwie nad tym co będzie, jeżeli bezrobocie jeszcze się powiększy, a tym samym zarobki jeszcze bardziej spadną. Gospodarka Ameryki znalazła się w błędnym kole: zbrojenia powodują wzrost podatków, te zaś zmniejszają zdolność nabywczą ludności.

Nie należy więc dziwić się, że „Economist” mówi malowniczo: „za Atlantykiem słoń” chodzi na pałuszkuach po składzie pełnym porcelany. Musimy przygotować się na wielki trząsk”. A jako końcowy wniosek pismo stwierdza, że „depresja w Ameryce musi pociągnąć za sobą kryzys gospodarczy, który objąby wkrótce cały świat”. Rzecz jasna, świat kapitalistyczny. Kryzys amerykański z 1929 r. rzucił na bruk miliony bezrobotnych, wywołał niezliczone bankructwa, wstrząsnął gospodarką całego niemal globu. Państwa Europy Zachodniej odczuły go szczególnie boleśnie. Dziś na skutek reakcyjnej polityki, na skutek hamowania obrotów ze Wschodnią Europą i Chinami, W. Brytania i Europa Zachodnia bardziej niż kiedykolwiek związane są z Ameryką i od niej uzależnione. Tym większe przerażenie budzi „upiór gospodarczy lat 1950-tych”, jak prasa angielska nazywa perspektywę coraz bardziej nieuchronnego kryzysu.

Ostatnio członek parlamentu,

SADRIDDIN AJNI

(Dokończenie ze str. 2)

przekleć przez Boga. I radzę ci nie wspominać ich tak często”. Czyżby obrazek ten wzięty został z czasów średniowiecza — nie — to lekcia, która miała miejsce w ostatnim dziesiątku XIX w. w najlepszej wyższej bucharskiej szkole duchownej, medresie Mir-Arab.

Bardzo ważnym dopełnieniem obrazu ówczesnej Bucharzy są obserwacje egzekucji pod pałacem emira, zwłaszcza jeśli się zna historię przestępstw skazańców. Naprzykład pewnego nędzarza stracono zamiast poganiać osłów Nasima, za którego złożono okup. Zresztą owego Nasima skazano na śmierć z to, że w jego kukurydzy bandyci zabili człowieka. Zabójców nie schwytano, a kodeks mahometanowski, Szariat, obciąża w takich wypadkach winą właściciela ziemi na której dokonano zbrodni.

Na całym jego obszarze bowiem wyszyskiwano chłopów, wszędzie religia przydawała godności możnym oszustom, przepustwo ciemnota, tyrania emira i bezsens praw szariatu rozciągał się po całym kraju.



przedstawiciel partii pracy Stanley Evans, zyskał sobie powszechny poklask mówiąc niedawno na licznych zebraniach: „Musimy ponieść wszelkie ofiary dla uwolnienia narodu brytyjskiego od zależności gospodarczej i finansowej od Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy zbyt wielkim narodem, aby grać rolę starej puszeki od konserw przywiązanej do psiego ogona”.

George Bidwell

*) Słoń jest tradycyjnym symbolem partii republikańskiej w USA.

Kronika radziecka

PISARZ W KOŁCHOZIE

Przęd klubem wiszą ręcznie zrobione afisze. Przypija się wtryśnię z fotografii parteru, z recenzjami jego dzieł. Biblioteczka przygotowuje książki. Nauczyciel rosyjskiego opiekuje się gromadką recytatorów, którzy uzupełniają wieczór autorski, oczekiwany z zainteresowaniem przez cały kolchoz.

Wieczór autorski w kolchozie. Ta forma spotkań z czytelnikami i popularizacji literatury wśród mas pracujących Związku Radzieckiego jest dziś powszechna. Ale udział pisarza w życiu kolchozowym nie może sprowadzać się do jednorazowej wycieczki na wieś.

Pisarz to aktywny uczestnik życia kolchozowego, który ukazuje w swej twórczości zarówno osiągnięcia jak braki.

Warto przypatrzeć się doświadczeniom radzieckim, gdyż i u nas dojrzała koncepcja stałej pomocy literackiej dla spółdzielni produkcyjnych. I tak np. Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi zaplanowała i prowadzi pisarom objęcie patronatu nad niektórymi spółdzielniami produkcyjnymi w województwie. Pierwszą styczność — poprzez świetlice, poprzez życie kulturalno-oświatowe. Ale oczywiście na tym pisarz nie może poprzestać: jego wzrok i pióro sięgają dalej i głębiej, w jądrowe konflikty i walki wokół powstawania nowego.

W Związku Radzieckim zdarzył się fakt, że młody utalentowany pisarz W. Owieczkin opublikował dwa szkice dokumentalne. „W pewnym kolchozie” oraz „Zwycię dni kolchozu”. W ślad za nim A. Złobin ogłosił szkic pt. „Miesiąc w piątym rejonie”. Obaj ujęli wydarzenia typowe, sięgając do istoty konfliktów i oczekiwalek prawdziwego bohaterstwa, zmieniając nazwiska, to jednak sytuacja tak pasowała do niejednego kolchozu w Związku na obecnym etapie politycznym, że tu i ówdzie ludzie dopatrywali się w szkicach zobrazowania własnych stosunków. Do Zarządu Związku Literatów Radzieckich, do redakcji pisma napłynęły listy z aprobatą takiej właśnie pracy pisarskiej i z prośbą o częstsze kierowanie pisarzy do kolchozów. Owieczkin i Złobin zdobyli uznanie czytelników dzięki umiejętności zarysowania typowych konfliktów, dzięki pokazaniu prawdziwych, żywych i typowych postaci, dzięki odważnemu przedstawianiu walki nowego ze starym.

Obaj pisarze ukazują na de opisanych kolchozów postacie na pierwszy rzut oka bezspornie pozytywne.

Oto kierownik rejonu, Paweł Rubcow, ze szkicu A. Złobina „Miesiąc w piątym rejonie”.

„Nowy zwierzchnik — czytamy u Złobina — od razu, jak to się mówi, pędem, obszedł wszystkie służbowe gabinety oraz wydziały i powołał wszystkich urzędników, których zastał przy telefonach. Takich nabrał trzynastu. Z miejsca w korytarzu wygłosił krótką, lecz ostrą mowę, której sens sprowadzał się do tego, że telefonicznie kanał nikt nie wykopie, i każł wszystkim udać się w teren”.

„Czego stoisz? — zapytał Rubcow brygadiera ekskawatorskiej grupy, Zawadę. Ten odpowiedział, że zniszczyli mu się jakieś potrzebne części w maszynie. — „Jak długo stoisz? — Trzy godziny”. Rubcow siadł do auta i pojechał do magazynu. Oczywiście, jakby na złość magazynierowi nie było. Wtedy Rubcow kazał rozbić kłódkę, dostał potrzebne części i sam odwiózł je brygadierowi”.

Stosunek do nowatorów? Rubcow rozumuje: „Zaczęła należeć różni konstruktorzy, technolodzy, zaczęła eksperymentować: wymieniać detale maszyn, próbować tego czy innego smar. A ja przywykłem mieć do czynienia z maszynami pewnymi, skontrolowanymi”. Rubcow bez ogródek wyklada zasadę swego postępowania: „Przysłano mnie tutaj, żebym wyegzaminował rejon i ja to zrobię, chociaż ktoś może być niezadowolony. Mnie to nie powstrzyma. Ja nie należę do ludzi lekkich. Mnie obowiązują tylko jedno prawo — „wykonanie państwowego planu”.

Tu jesteśmy u sedna rzeczy. Rozgłoszono Owieczkina i Złobina, tłumaczy się tym, że udało im się zasygnalizować niebezpieczeństwo rygorystycznego, bezdusznego wykonywania planów. Rubcow zapomniał o głębokich, mądrych słowach Stalina, wypowiedzianych w Pałacu Kremiowskim 4 maja 1935 r. na uroczystości promowania Akademików Armii Czerwonej: „Trzeba nareszcie zrozumieć, że ze wszystkich istniejących na świecie cennych kapitałów najcenniejszym i najbardziej decydującym kapitałem są ludzie, kadry”.

Bohater szkicu Złobin widzi ważne państwowe zadanie, widzi plan, a nie dostrzega ludzi, którzy ten plan wykonują, wychowując się w toku kolektywnej pracy, w pokonywaniu trudności.

Podany przykład jest bardzo znamienity. Uczy, jak należy patrzeć na produkcję kolchozową, na wykonanie planu. Pisarz nie daje się uwieść efektem cyfr, szuka za nimi człowieka. Wniosek: w centrum zainteresowania literata przyjeżdżającego do kolchozu powinien być człowiek i jego przemiany, a nie tylko zewnętrzny obraz osiągnięć produkcyjnych.

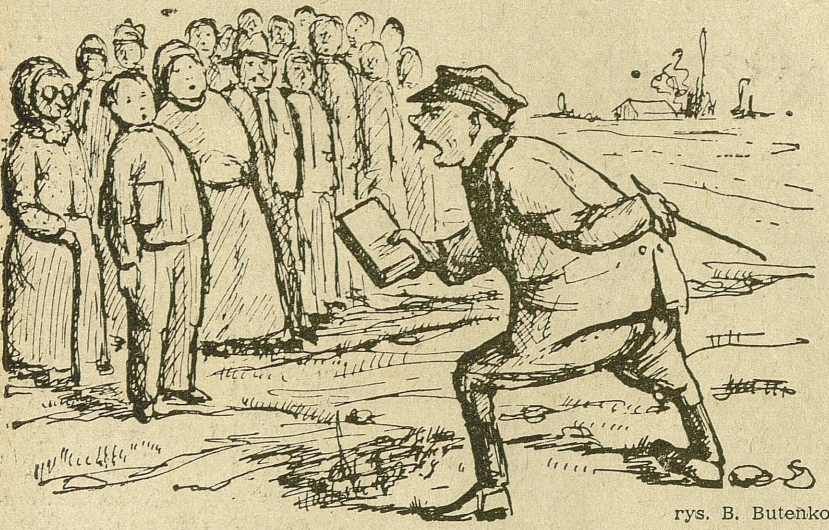
Jest to i wskazanie dla nas i przestroga. Nasza młoda proza reportażowa otrzymuje z rąk radzieckich sąsiadów cenne doświadczenie: opisując spółdzielnię produkcyjną pamiętać należy zawsze o jej twórcach — ludziach.

O zadaniach pisarskich w kolchozach pisze szerzej „Literaturnaja gazeta” z 5 maja br. Ustala środki, którym winien posłużyć się pisarz-obszawator: za najcenniejszy uważa szkic dokumentalny.

Jakie są cechy tego politycznie ważkiego gatunku literackiego? „Zadanie szkicu dokumentalnego — pisał „Literaturnaja gazeta” — polega na tym, żeby zapoznać cały naród z ludźmi godnymi uwagi. Szkic wypełnia to zadanie nie powiastkami i nie po kronikarsku, nie jest notą informacyjną ani rozprawą technologiczną, nie popularyzuje doświadczeń nowatorów, na modłę broszur o stachanowcach. Szkic w sposób wybitnie artystyczny, głęboko filozoficzny łączy swój temat z całą współczesnością kraju, nawet z jej historią. Te zadania określają cechy formy: autor powinien dać jak najwięcej wiadomości o życiu bohatera, scharakteryzować go możliwie najpełniej, podać warunki życia i pracy, które tworzą wokół człowieka postaci potrzebne emocjonalną atmosferę. Te i inne cechy zbliżają (zachowując różnicę) szkic dokumentalny do powieści. Siła tego gatunku literackiego to siła życiowego faktu, który staje się osobistym przykładem dla milionów ludzi w Związku i zagranicą”.

Te doświadczenia i wskazówki radzieckie mogą być bardzo wartościową pomocą dla naszych pisarzy.

GRZEGORZ TIMOFIEW



rys. B. Butenko

TADEUSZ SŁUPECKI

Kapral Bąbelek robi rewolucję

KIEDY Kajetan Bąbelek został referentem kulturalno-osiwiatowym GRN w Sztydlowicach, sytuacja kulturalna gminy zdawała się nie mieć podobieństwa do tej, w jakiej po biblijnym potopie znalazło się podobno wszelkie życie na ziemi: tyle było tego, ile w arce Noego. Z tą, oczywiście, różnicą, że rolę sztydlowickiej arki spełniała skromna biblioteka gminna, o raz że gdy kulę ziemską w ciągu siedmiu (jak twierdzi biblia) tysięcy stuleci nawiedził jedynie jeden jedyń potop, to Sztydlowice przez siedem zaledwie lat musiały przetrzymać takich referentów aż piętnastu!

Pierwszym był przedwojenny rzemieślnik sąsiedniego miasteczka, którego jednak już w czasie drugiej podróży szałowej przyłapał go transportem słońc o dość niejasnym pochodzeniu i przeznaczeniu, jeśli nie uwzględnić tłumaczenia, jakoby odbywały one z rzemieślniczej dobowolnicy wycieczkę dokształcającą po gminie. Zastąpił go były handlarz medalionów, emerytowany żołnierz, znowu i wreszcie buchalter miejscowego GS, który wprawdzie zajmował się miejscową kulturą jedynie w godzinach nadliczbowych, ale mimo to zdołał zaprowadzić tam pożyteczną zasadę równomiernego rozdawania dóbr kulturalnych, polegającą na przydzielaniu pierwszego tomu wielotomowej powieści bibliotecznej, a dalszych — gromadzkim punktom bibliotecznym, co w czynnikach biegnących za dalszymi tomi — wyrabiał fizycznie kartepe, zabezpieczając przez lekarzy nawet najbardziej zasuszonego molom książkowym.

Po buchalterze zjawili się dziadek Klita, emerytowany kierownik urzędu pocztowego, od lat 30 mierzający się nad opadłym dziełem pt. „Skalska Nemesis Sztydlowice, czyli o pochodzeniu tutejszych kamiennych kamieni”. Ta licząca blisko 900 stron maszynopis rozprawa kłóciła się niezwykłą śmiałością hipotez, że w uroczystym milczeniu gapił się na jej gładką buźkę i foremny biuścik, co pozwałało żyć nadzieję, że z czasem będą się schodzić podobnie i dla samej kultury. Niestety, GRN nie zdołała się przekonać o słuszności tej hipotezy, po piękna Celina zaprzęgnęła wkrótce swe kulturalne kwalifikacje ofiarować wyłącznie pewnemu traktatowi z sąsiedniego powiatu, gdzie się też po ślubie przeniosła, ku niemiłemu strapieniu miejscowych kawalerzaków, wiele oburzonych na tak bezceremonialny zamach na miejscową kulturę.

Kto wie, czy po tylu doświadczeniach sztydlowicka Rada zdecydowałaby się na dalsze, gdyby nie Dni Oświaty, Książki i Prasy, gdyby nie twarzą postawa władz powiatowych, które upierały się bez przerwy, że bez podniesienia świadomości i kultury chłopu nie można na wsi liczyć na masowy rozwój spółdzielni produkcyjnych i socjalizmu...

— Ano, jak nie można, to trzeba... — zdecydował nie bez wewnętrznej oporu przewodniczący Rady. — A skoro prowadzący, żeśmy są u nas zapóźnieni z tą rewolucją kulturalną, to my im tu przez te dni kultury taką rewolucję wyszukujemy, że nawet w Warszawie na tyłkach, za przeproszeniem, z zawieszki zielenieliśmy. Tylko trza nam do tego chłopu z nielada faconem.

Po wielu debatach wybór padł właśnie na Kajetana Bąbelkę. Był bowiem jednym z nielicznych w gminie, których od książki nie odstraszyło nawet owych 15 referatów kulturalnych. Ponadto miał on poza sobą służbę wojskową jeszcze sprzed czasów wojny z Hitlerem, z której wrócił w randze kaprala oraz z niemałymi skłonnościami do zaprowadzania wojskowego, jak mówili, „drylu”, co jednak dotąd mógł czynić jedynie na swym podwórku, gdzie podobno nawet krowy przy udoju stawały przed nim na baczność. Ta cecha charakteru była jednak, zdaniem radnych gminnych, w tej ważnej dla gminy chwili raczej zaletą, która swa owocność zaczęła wydawać już najszybciej po mianowaniu Bąbelki szustanym z kolei referentem kulturalnym Sztydlowice.

Jeszcze wieść o tym wydarzeniu nie dotarła do wszystkich gromad, a już pojawiły się w nich następujące ogłoszenia:

„ROZKAZ MOBILIZACYJNY Nr 1. Podaje się do wiadomości, że z dniem dzisiejszym na terenie gminy Sztydlowice wprowadza się powszechną mobilizację czyli książkowo-czytelniczą rewolucję kulturalną, której to atoli podlegają wszyscy obywateli bez różnicy, czy to mąż,

czy żona, czy nieletnie dziecię płci obojga, jeżeli zostali zrodzeni słubnie, nieślubnie albo w inny sposób w latach 1888 aż do 1945 włącznie. Zgłaszają się wg. kolejności dużych liter alfabetu w następujących terminach i punktach bibliotecznyc...

Podpisano: SZEFEK REWOLUCJI KULTURALNEJ w Sztydlowicach.

(—) Kajetan Bąbelek, kpr. rezerwy.

Choć znalazło się w gminie sporo śmiatłok próbujących kpić ze wspomnianego ogłoszenia, rychło przekonali się, że to nie dawne kulturalne bezbożowie! Stworzona przez Bąbelkę ochotnicza milicja kulturalna, wyposażona przez GRN w specjalne opaski na rękawach, doprowadzała opornych na punkty biblioteczne siłą. To poskutkowało i nawet ledwo co na oczy widzące babiny zamiast klepać różańce — zaczęły głośno dukać całe rozdzielnie „Biegu do Praga”, a oeski, choć nie objęte rewolucją kulturalną, w chwilach wolnych od snu, ssania i innych czynności naturalnych same rwały się do czytania naszych współczesnych powieści o krajowej tematyce wiejskiej twierdząc przy tym zgodnie, że wszelkie zarzuty krytyków literackich są nieślusne, skoro autorzy tych powieści ci w pełni potrafią zaspokajać potrzeby czytelni, a nawet u trzymiesięcznych niemowląt.

A Bąbelek niezmordowanie działał dalej. Specjalnymi obwieszczeniami powiadamiał chłopów co i kiedy mają czytać, wyznaczał terminy dyskusji i dyskusantów, ulepszał w gminie organizację czytelniczą przez dostosowanie jej do „specyficznych zainteresowań i potrzeb każdej gromady”. A ponieważ, jego zdaniem, nazwa każdej wsi najlepiej świadczyła o historycznie ukształtowanych potrzebach jej mieszkańców, więc „Włoskowicom” przydzielił „Pamiętniki Fryzjera”, broszury o pielęgnacji włosów i podręczniki fachowe dla fryzjerów, Stawidom — choć stawów nie miały — wyłącznie książki o hodowli rybnej i Łacisa „Syna rybaka”, a Papierzycom — „Pamiętnik z Celulozy” opisy uprawnień przy wyrobie papieru toaletowego i broszury o mataczach Watykanu, ponieważ nie był pewien, czy nazwa „Papierzycze” pochodzi od słowa „papier” czy „papię”. A niechby ktoś spróbował nie przeczytać wyznaczonej mu książki!

— Dlaczegoście to nie przeczytali o metodach szybkościowego ewakuowania wieżowców? — zapytujął wtedy niby spokojnie, ale tak jakoby, że pytanemu zasychało w gardle.

— A bo... A bo... — jękał tamten, nie śmiejąc powiedzieć, że diabła tam obchodziło o jakieś wieżowce, natomiast ciekawy jest radzieckich metod wychowu cięt.

— Co za „abo”? Będziecie wy, skurczybyki, czytać, czy nie? Wam się wymagać łatwo, bo łeb was nie boli, czym to się gmina po tym tygodniu kultury przed powiatem wykaże! Ale ja mam z wami robić rewolucję kulturalną!

I chłopina, ciekawy radzieckich wychowu cięt, zasiadał potulnie nad książką o szybkościowych metodach spawania wieżowców, podczas gdy Bąbelek wymyślał coraz to nowe ulepszenia, wzory do nich czerpiąc z czasów swej przedwojennej służby w wojsku. Wprowadził nawet w gminie nocne alarmy, na których sprawdzał, jak mówili, „stan kulturalnego pogotowia chłopów”.

— A kto to powiedział i kiedy? „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”? — zapytujął zienienka, stojąc w pełnej gali przed frontem wyciągniętych w dwuszerę chłopów i bab.

— Ano, widzi mi się, że chyba ten Stowacki co z lilią Wenedą wojał...

— A to: „Choćbyś chłonie Krezusem był, co odzian w marmury, To szczęścia zagnasz jedynie w ramionach kultury...”

Druga „ojara”, uwiad lepiej przygotowana albo mniej zaspana, odpowiadała z przymilnym uśmiechem:

— To początek dwudziestej księgi poematu odywata Kajetana Bąbelka, napisanego przez niego na cześć tygodnia kultury i sztuki...

POŚLOWIE. Aby nie było wątpliwości co do intencji tego felietonu, autor dedykuje go tym radom narodowym, które sprawy kultury traktują jeszcze jako „coś, co się robi, gdy już nie ma nic innego do roboty” oraz tym, którzy socjalistyczną kulturę na wsi chcą szerzyć nie metodą uczenia, lecz tepego dekretoowania.

Tadeusz Słupecki

TADEUSZ TOMKIEWICZ

Jeszcze nie biją?

WGibach, pow. suwalski, jeszcze przed dwoma laty działał Ludowy Zespół Pieśni i Tańca. Zdobył nawet pierwsze miejsce w województwie na Festiwalu Ludowych Zespołów Artystycznych w Białymstoku. Znamy więc w Białymstoku, w Elku, w Warszawie, tylko nieznany i niedoceniony pozostał w Suwałkach. Po pierwszych bowiem osiągnięciach, gdy kilku zdolnych ludzi odeszło z zespołu, nie Suwałki zatroszczyły się by zasilić go nowymi ludźmi. Komendant gminny „SP”, dawny opiekun zespołu, cały sprzęt muzyczny rozpozyczył swoim znajomym. Harmonia i adapter, które otrzymał zespół jako nagrodę, poszły w ręce prywatnych muzyków. Zespół rozleciał się. W Zarządzie Gminnym ZMP i w Gminnej Radzie Narodowej odpowiadają wzruszeniem ramion:

— Albo my tylko zespół mamy na głowie...

Gminna Biblioteka Publiczna w Krasnympolu (również powiat suwalski) posiada około 2.500 tomów, ale nikt ich już nie czyta. Bo... Powiatowa Biblioteka w Suwałkach od roku nie zmienia ani jednej książki w księgozbiorze. Bo... od dwóch lat stale zmieniają się bibliotekarze, a zawsze przychodzą

EDWARD POCHROŃ

Listonosze

Zjawisko spadku ilości prenumeratów czasopism w miesiącach letnich było w ubiegłych latach faktem nagminnym i chorobliwym. Np. w 1952 r. w ciągu miesięcy czerwca, lipca i sierpnia nakład czasopism zmalał prawie o 600 tysicy, w tym samym czasie województwie krakowskim o 67.200 egzemplarzy.

LISTONOSZ z placówki Witonina, woj. łódzkiego, tow. Szczepański odpowiedział na apel Wiktora Saja taki zobowiązaniem: „Ja nie dopuszczę do spadku ani jednej gazety w okresie letnim” i wezwał do podobnego zobowiązania wszystkich listonoszy w Polsce.

Podobne zobowiązanie podjął listonosz wiejski ze Słomnik pow. Miechów, Józef Cielek. Utrzymał on w miesiącach letnich ilość prenumeratów z okresu wiosennego i systematycznie będzie podwyższał tę ilość. Oprócz tego Józef Cielek ma w swoim rejonie 632 prenumeratów i to w 100 proc. wielomiesięcznych.

Na wyróżnienie zasługuje też inny listonosz z miechowskiego, Jan Bubaś z Michałowiczy-615 zapremerowanych czasopism, tzn., że na 1,2 mieszkańca przypada 1 gazeta. Przysłał on do współzawodnictwa długofalowego.

Drugą skuteczną i cenną formą pracy Służby Gazetowej jest walka o stuprocentową prenumeratę wielomiesięczną, bo tylko wtedy będzie można zapobiec rezygnowaniu przez chłopu z gazety w okresie np.

tacy, którzy nie mają innej pracy, więc czeplają się biblioteki. Ojcowie gminy pomagali koleżance Gębał w ukończeniu szkoły handlowej po czym beztrako „wsadzili” ją do biblioteki. „Wieżnia stanu” odwiedza dzieci z miejscowej szkoły, którym książki potrzebne są jako obowiązkowa lektura szkolna, a ze wsi 5 zarejestrowanych czytelników. Ojcowie gminy zarządził więc, aby księgozbiór przeniesić do mieszkania bibliotekarki, a lokal biblioteki przeznaczyć na inne cele.

*

W gminie Szczecbro-Olszanka, pow. augustowski, istnieje 6 świetlic gromadzkich. Istnieje — na ciemnym papierze, Zajrzałem do jednej z nich, w Józefowie.

— Świetlica? — pyta zdziwiony gospodarz — coś tu takiego miało być. Przed rokiem podpisałem kontrakt na wynajęcie mieszkania. Potem przywieźli 2 stoły, 3 krzesła, kilka książek i kupę pism. Leży to już od roku. Pan może w sprawie odnowienia kontraktu, bardzo chętnie...

Ruszyłem w drugi kraniec tejże gminy, do Dolnego Lasu. Miała tu być „wzorowa świetlica”. Zorganizował ją Związek Zawodowy Prze-

myslu Drzewnego. Mieściła się w prywatnym domu. Początkowo za lokal płaćli związek. Później oświadczył: Kto korzysta ze świetlicy (bo dla związku potrzebna była tylko raz do roku), niech ten płać za lokal. Koło ZMP przez pewien czas załatwiała sprawy finansowe. Potem zabrakło funduszy, a stoły, krzesła i szafki porzucili ludzie cichaczem po swoich domach. Wreszcie gospodarz domu wyrzucił resztki sprzętu, zerwał sztyl i zamknął lokal na przysłowiowe trzy spusty. W spisach figuruje: świetlica. W praktyce w obu wypadkach nie pozostało po niej żadnego znaku.

Na 6 świetlic w tej gminie jedna jest tylko czynna. Odpowiada ją od czasu do czasu kino, czasem miejscowy zespół artystyczny urządza jakieś imprezy.

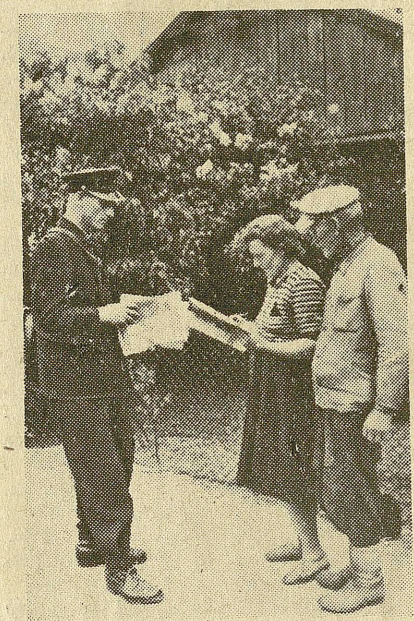
*

Tyle mówią fakty. Komentarza do nich udzielił mi przewodniczący GRN w Beldzie (pow. grajewski):

— Świetlice? O, to sprawa inna. Powiedziałbym — trochę słabsza. Za to jeszcze nie biją...

— Wiesz. Ale dlaczego jeszcze nie biją?

Tadeusz Tomkiewicz



Edward Pochon

Aktywności ZMP, ZSCh i ZSL! Czas najwyższy, abyście zrozumieli w pełni, że prasa i książki, to potężny oręż w przebudowie naszego kraju. Bierzcie przykład z Zarządu Powiatowego ZSL w Myślenicach, który listonoszowi Józefowi Wołkowi pomógł zdobyć 400 prenumerat i rozpozyszczyć 1500 egzemplarzy „Statutów spółdzielni produkcyjnych”. Jest to powiat naszego korespondenta i działacza spółdzielczego Ludwika Maja.

Nasza odpowiedź: przyprowadź mi natychmiast to drugie obrotowe kombinatory, choćby nawet bardzo bolało, od tego bowiem gromada odzowie.

Jan Wichura

Początkowo — życie rodzinne, jak to się mówi, kwitło. W wielkiej harmonii i zgodzie, rower, ciepłe koce, wiele metrów najlepszego materiału powędrowało do rodzinnych magazynów. Zachowywano wszelkie poczucie hierarchii. Tradycja bowiem obowiązywała w rodzinie. Pierwszy zawsze zabierał co się dało Frank Kusił, główny buchalter, ten sam, co to 7.000 złotych mancia zamienił w 80 zł nadwyżki.

Na specjalną uwagę zasługuje polityka kadr rodzinna. Włączono do niej „z urzędu” prezesa GS Bazylego Kornelka, choć to właściwie nie krewny, rozpozno wychowywanie drugiego magazyniera — Lisieckiego. Chłopaka delegowano na stałe do gospody, gdzie pobierał próbki alkoholu. Urosło z tej ściśle naukowej działalności niemałe manao, ale Lisiecki z niezwykłym talentem umiał spowodować, że kierownicy gospody ob. Ostapkiej karg pół roku wzięcia zamieniono na dalsze urządowanie. Tak więc Lisiecki z miejsca okazał niezwykle kwalifikacje i byłby niezawodnie wszedł do rodziny, gdyby nie to, że wszyscy familianci przeciwni pewien maly lecz istotny szczegół, to mia-nomale, że w gminie żyją uczeni chłopci. Oni to ułotwili nowe przysłówko: „Jak to że jest i nielekanie, gdy rodzinika wszystko kradnie”. I czekają aż się tego przysłówka o GS w Opolu nauczy dobrze na pamięć PGZS.

Jan Biegała

— Jak to mło jest i ładnie, gdy rodzinika żyje składinie — gdzie jak gdzie, ale w Gminnej Spółdzielni w Opolu, pow. Włodawa to budujące przysłówko, w żaden sposób sprzeczające się nie chciało. A przecież taka się tam szeroko rozgazałona rodzinika osiedliła.

Przeżyłacie tylko: Kusik Franciszek — główny buchalter, jego brat Eugeniusz — skarbnik Zarządu, Marczuk Józef, siostra obu braci — magazynierka, jej mąż Józef — referent kontraktacji. Ponadto dobrano do kompletu dalszą rodzinę, żeby się przy gołwoli li-ni Kusików i Marczuków wyrobiła. To Panasiuk Stefan, wuj Marczuków — pomoc biurowa, oraz jego córka Maria — kontrolerka.

Tak więc dzięki kołu ZMP w Sierakowie nie odbywa się żadne publiczne zebranie, jeżeli pominiemy owe nieoficjalne wieczorki. Sympne koło, wielka zasługa, nie ma co! Piotr Pajwa

Piotr Pajwa

I. G. KAMIŃSKI

„TO WIEŚ — NIE MIASTO”...

SZCZEPANKOWO w powiecie szamotulskim to duża wieś, zelektryfikowana, położona na skrzyżowaniu szlaków komunikacyjnych, a więc bynajmniej nie de-skami zabita. Jest na miejscu spółdzielni produkcyjnej, do której przystąpił repatriant z za Buga i kolonisci z gospodarstw poniemieckich, jest i pokaźna grupa zagrod kułackich.

We wsi świetlica gminna powinna odegrać poważną rolę w okresie wzmoczonej walki o wprowadzenie gospodarki zespolowej. Inaczej jednak zapatrzyć się na zadania świetlicy k.ercownicza, Zofia Lembiowska, która przez rok „władania” życiem kulturalnym Szczepankowa, położyła je... na obie łopatki. Przyczyną zupełnego zaniku aktywności życia kulturalno - oświatowego w Szczepankowie wyglądają w jej interpretacji tak:

— Robota n.e idzie, zupełnie nie idzie. Ludzie do świetlicy nie zagląda, proszę pana. Wiś nie ma, stoc, ciowiek przychodzi strudzony z pola, to myśli tylko, jakby się na-jęć i wyspać, nie życie świetlicowe mu w głowie. Ja jestem kierowniczka d o p i e r o od sierpnia 1952, ale widzę, że ujechać nie można. Złożyłam rezygnację, dziwię się, że mnie nie zwalnaja. Tu beznadziejna sprawa, najlepiej byłoby przenieść świetlicę do Ostrogora i konieć.

Fakt, że na początku ubiegłego roku pracował tu regionalny szamotulski zespół pieśni i tańca, dwukrotnie nagrodzony na ogólnopolskim festiwalu w Warszawie — w oczach kierowniczk nie posiada dostatecznej wymowy.

— Zespol? Był, owszem. Dwie dziewczynki wyszły za mąż, dwóch chłopów poszło do wojska i rozpadł się.

— A reszta? Co z pozostałymi dwudziestą członkami zespołu? — Zwyczajnie, woda sodowa im do głowy uderzyła. Do Berlina i Moskwy to by jędzili, ale w powiecie występować? Nigdy!

— Może pracuje zespół czytelniczy?

— Widać od razu, że pan z miastem. Kto na wsi o tej porze książkę czyta? Zimą to jeszcze, ale teraz? Zespol był, ale się rozpadł.

— Orkiestre mieliście przecież.

— Rozpada się, życie kulturalne nie ma u nas gleby. Uyscha. Ja zre-szta rezygnację złożyłam...

Jednym słowem, aktywność albo zniechęcony, albo „rozpadł się”. Ona podda się demonstracyjnie do dymisji, a świetlicę przeniosła do Ostrogora i wszystko będzie w porządku. Tymczasem w Szczepankowie jest sporo młodzieży, która garnie się do świetlicy, mimo iż niczym się jej nie zachęca. Danuta Wagnerówna i Maryla Wichniarkówna, piękny duet wokalny; Marian Wichniarek — ukończył kurs dla dyrygentów i mógłby prowadzić chór; Mataj Serweryn — ten zdum podjął się prowadzić zespół teatralny. Nazwisk można by wymienić kilkanaście.

Weźmy inną sprawę — gospodarstwo sprzętem świetlicowym. Dwa komplety szachów wypożyczyła Lembiowska jeszcze w grudniu ub. r. Swiderskiemu i Mendykowi. O zwrot się nie domogła, co młodzieży uniemożliwia założenie sekcji szachowej. Radio „wypożycza” sobie często biuro spółdzielni, o pozwolenie nikogo się nie pytając. Adapter wskutek braku dozoru został zniszczony. Płyty było 22, kierowniczk wypożyczyła je prywatnie Kotowi, który zwrócił... 9. Akordeon od kilku miesięcy świetlicy nie widział, stale brząsa nie wiadomo gdzie. Skrzypce i basy są uszkodzone, gdyż nikt się nimi nie opiekował. I tak dalej; i tak dalej.

A przecież i aktywność by nie brała. Oto LZS, zrzeszający 25 młodych ludzi, poza wieloma osiągnięciami w dziedzinie sportu, przygotował również udaną inscenizację na 1 Maja.

— Chętnie poświęcimy się pracy kulturalno - oświatowej — wyjaśnił w imieniu kolegów Jerzy Sze-wiło, zastępca przewodniczącego LZS. — Kierownictwo świetlicy musi jednak wykazać chęć do współpracy, czego dotychczas nie było.

Tu dochodzimy do sedna sprawy. — Różnie u nas bywało — powiada pani Lembiowska — ale ja tam nazwiskami nie będę operować, bo wieczorem nie chcę dostać sztachetę po głowie.

— Ale przez chowanie strusia metodą głowy do piasku nie pomoże pani spółdzielni produkcyjnej, nie ożywi życia świetlicowego, ani nie ukryje faktu, że wskutek pani „pracy” Szczepankowo przestało być ośrodkiem regionalnym, kulturowym i piękną tradycję szamotulskich tańców, muzyki i pieśni.

A wniośki? Wyciągnij z pewnością Wojewódzki Wydział Kultury w Poznaniu; młodzież zaś szczepankowska co swej strony postara się o to, aby regionalny zespół pieśni i tańca na następny festiwal zespołów świetlicowych zajął jedno z pierwszych miejsc. To sprawa Waszego honoru. Koledzy!

Ireneusz Gwidon Kamiński

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starowiejska nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 863-86. Tel.: Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa Marszałkowska 3/5 4-15-16612